



nic pewne-
go na tym
świecie **8-9**

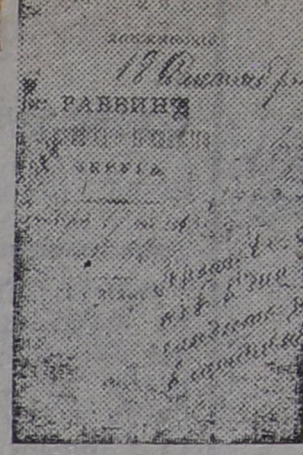


wbrew na-
turze czyli
w szponach
bluźnierczej
namiętności **7**

o co wal-
czymy **11**



zakupy z
pustym
portfelem **14**



tomżyniana **16**

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

8

(84)

KONTAKTY
23 V 1982
Cena 12 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

Dzień Matki

Chciałbyś choć gwiazdę Jej podarować
za twe dzieciństwo, za Jej część w tobie,
za to, że prawdy masz trochę w sobie
— dziś swą miłością uczysz się dziękować.

Krzysztof Kubik (fragment wiersza „Mamie”)

od sołtysa do ministra

nim oskubią ci głowę

**przytul
mnie
królowo**

DANUTA WRONISZEWSKA

To był zimny marcowy ranek, piętnaście lat temu. Janina, jak co dzień, spieszyła do pracy. W parku minęła skulone, drżące z zimna dziecko. Całkiem nieduże, trzy—czterolatnie, ale z tornistrem. Coś jej kazalo zawrócić. Dziecko wykrzyknęło: — To ty jesteś moja najprawdziwsza mamusia!? Nie miała zamiaru kłamać. Skostniałe Cyganiatko stwierdziło więc ze smutnym zachwytem: — Ach, jesteś królową z Belwederu.

„Królowa” zabrała go z sobą do żłobka, gdzie pracowała. Ubrała w ciepły dres. Ubranie trzylatka pasowało jak ulał na tego siedmioletniego chudzielca. W „żłobku” podobało mu się bardziej niż w „zerówce”. Ciepło, wesoło, kolorowo. Wszyscy się nim interesowali. „Królowa” go karmiła. Potem jednak trzeba było wrócić „do siebie”, do Domu Dziecka. Kilka dni później Janina znalazła go pod swymi drzwiami. Już zdecydował: znalazł matkę. Nie mogła zaprowadzić go siłą do sierociego domu. Okazało się, że mąż Janiny znał chłopca i jego historię: 14-letnia Cyganka po urodzeniu go zrzekła się praw rodzicielskich. Napisała nawet oświadczenie, że nie chce być informowana o jego losach. Sama też wyjechała z Białegostoku i do dziś nie wiadomo, gdzie mieszka.

Chłopak tymczasem powoli wrósł w nową rodzinę, zaprzyjaźnił z wnuczkami Janiny; we wrześniu, pięknie ubrany, poszedł do szkoły. Kłopoty nie kończyły się nigdy. Nauka szła mu opornie: zaniedbania z poprzednich lat, jakieś urazy dawały o sobie znać opóźnieniem rozwoju umysłowego — zostawiły trwałe ślady w psychice. Jego rówieśnicy nie obchodzili się z nim jak z jajkiem. Ileż razy grał rolę malpki obserwowanej z chwilowym zainteresowaniem, rozbawieniem lub lekką odrazą. Musiał to ludziom wybaczać, skoro nie odizolował się od nich; tańczył, śpiewał i grał na gitarze, miał zawsze wiele uśmiechu do rozdania.

Przybrana matka wychowała go w duchu głęboko religijnym. Może stąd ta łatwość wybaczenia i przy-

STR. 5

CIĄG DALSZY NA STR. 6

Doskonalej czerni (farby), świetnej bieli (papieru), a także spełnienia wszelkich marzeń — z okazji Dnia Drukarza

— życzą „Kontakty”

PODSUMOWANIE GOSPODAR-
KI województwa za kwiecień bu-
dzi mieszane uczucia. Wydajność
pracy spadła o 16,3 proc. w porów-
naniu z marcem br. Przeciwnie pla-
ca wynosiła 7256 zł, co oznacza, że
jest o 1246 zł wyższa niż w roku
ubiegłym. Nieznacznie spadło za-
trudnienie (0,4 proc.). W dniu 25
kwietnia na 364 osoby poszukujące
pracy czekało 871 wolnych miejsc.
W przemyśle uspołecznionym — w
porównaniu z marcem tego roku —
zanotowano duży spadek wartości
sprzedaży (16,6 proc.) i wydajności
pracy (16,3 proc.). W przemyśle
drobnym natomiast — korzystne
procesy: wzrasta wartość sprzeda-
ży (2,4 proc.) przy spadku zatrud-
nienia (3,8 proc.). W rolnictwie —
wzrost skupu zbóż, bydła, drobiu i
mleka, a spadek żywca i jaj. W
kwietniu nie oddano do użytku żad-
nego spółdzielczego bloku mieszkal-
nego. W handlu detalicznym sprze-
daż była niższa o 6,3 proc. w porów-
naniu z marcem, w gastronomii —
o 20,4 proc., mimo że marże wzrosły
o 28,9 proc., a napojów alkoholo-
wych powyżej 18° — aż o 147,8
proc. Również podaż towarów nie-
żywnościowych była bardzo mała.
W I kwartale rozpoczęto realizację
10 inwestycji, głównie w gospodar-
ce komunalnej i mieszkaniowej.

SEKRETARIAT KW wystuchał
informacji o dobrym przygotowa-
niu zakładów mleczarskich do
szczytowego skupu mleka i zado-
walającej realizacji inwestycji mle-
czarskich. Zapoznał się również ze
stanem wdrażania reformy w jed-
nostkach gospodarczych, podporząd-
kowanych województwu i przygoto-
wywanymi zmianami organizacyj-
nymi. Stwierdzono, że wprowadzić
trudno na obecnym etapie doko-
nać wnikliwej oceny reformy,
lecz z pewnością władze admini-
stracyjne powinny bardziej zain-
teresować się problemami związa-
nymi z jej wdrażaniem.

ZAKOŃCZYŁ SIĘ CYKL szkoleń
partyjnych. Odbyły się one w Mier-
kach (woj. olsztyńskie) w czterech
turach: dla sekretarzy komitetów
miejско-gminnych, gminnych i za-
kładowych, dla pracowników poli-
tycznych Komitetu Wojewódzkiego,
sekretarzy resortowych komitetów
oraz pierwszych sekretarzy podsta-
wowych organizacji partyjnych w
Łomży.

CZESŁAW GARTYCH, prezes
WK ZSL w Łomży, spotkał się z
szefami wojewódzkich organizacji
młodzieżowych: ZHP, ZSMP, ZMW.
Temat rozmowy — cele działalności
i zadania związków w pracy na
wsi.

NA NARADZIE AKTYWU ZW
ZSMP opracowano postulaty or-
ganizacji oraz problemy, z którymi
członkowie związku wystąpią na
plenum KW PZPR, poświęconemu
sprawom młodzieży. W centrum ich
zainteresowania znalazły się m.in.
zasady partnerstwa PZPR — ZSMP,
ulotwienie startu młodzieży wiej-
skiej (m.in. przez odpowiednie kre-
dyty, rozwój kultury, sportu i re-
kreacji), stworzenie dwu tysięcy
miejsc w internatach dla młodzie-
ży szkolnej, lepsza organizacja ich
praktyk zawodowych, budownic-
two mieszkaniowe patronackie —
spółdzielcze i jednorodzinne — oraz
zapewnienie towarów na realizację
kredytów MM.

WOJEWODA POWOŁAŁ trzy
nowe jednostki administracyjne:
Zarząd Gospodarki Komunalnej i
Mieszkaniowej, którego dyrektorem
został Roman Ryszka, Zarząd Bu-
downictwa pod kierownictwem
Czesława Kolodziejczyka oraz Wy-
dział Gospodarki Wodnej, Geologii i

Ochrony Środowiska z Henrykiem
Milewskim w funkcji dyrektora.

WOJEWODA ŁOMŻYŃSKI 5 ma-
ja odwiedził działalność następują-
cych stowarzyszeń: Towarzystwa
Miłośników Ciecchanowca, Towa-
rzystwa Przyjaciół Ziemi Szezu-
czyńskiej, Towarzystwa Przyja-
ciół Ziemi Grajewskiej, Towarzy-
stwa Miłośników Rajgródu, Łom-
żyńskiego Towarzystwa Fotograficz-
nego.

NA PIERWSZEJ TEGOROCZNEJ
sesji Miejskiej Rady Narodowej
łomżyńskiej radni przyjęli sprawo-
zanie z wykonania zadań spo-
łeczno-gospodarczych i realizacji
budżetu w roku ubiegłym oraz
przyjęli plan pracy MRN, plan roz-
woju społeczno-gospodarczego mia-
sta i rozdyponowania budżetu. Za
priorytetowe zadanie uznano re-
monty mieszkań, uzbrojenie terenów
pod budownictwo mieszkaniowe,
czystość i estetykę miasta, racjo-
nalną dystrybucję masy towaro-
wej oraz opiekę nad osobami sa-
motnymi i niepełnosprawnymi. Pod-
jęli uchwałę o połączeniu szkół
podstawowych nr 1 i nr 6 w jedną
placówkę. Obie szkoły mają wciąż
zmniejszającą się liczbę uczniów, a
wygospodarowany budynek będzie
służył jako locum powstającego
Studium Nauczycielskiego.

Powrócono też do dyskusji na
temat nazewnictwa ulic w Łomży.
Zakończono ją uchwałą, która po-
stanawia: pozostawić nie zmienione
nazwy ulic: Buczka, 22 Lipca, Scie-
giennego i placu Żeglarskiego; zmie-
nić nazwę ul. Słonecznej na Ks.
Kardynała Stefana Wyszyńskiego
(przypominamy, że pomysłodawcą
tej inicjatywy była nasza redak-
cja), placu Dubois na poprzednią
nazwę, Plac Pocztowy, a ul. Osiedlo-
wej na — Józefa Bema; nadawać
kolejno powstającym w osiedlu Jan-
tar ulicom nazwy: Ks. Janusza I,
Konstytucji 3 Maja, 33 Pułku Pie-
choty, AK, Batalionów Chłopskich,
Leona Kaliwody i Wincentego Wi-
tośa.

ZARZĄD WOJEWÓDZKI ZSMP,
wspólnie z wydziałami zatrudnienia,
organizuje wyjazdy młodzieży do
pracy w krajach socjalistycznych.
Pierwsza, dwudziestoosobowa, gru-
pa pracuje już w Karl-Marx-Stadt
(NRD) w fabryce włókienniczej, a
następna pojedzie tam we wrześniu.
Obecnie natomiast kompletuje się
ekipa na wyjazd do Czechosłowacji,
do pracy w górnictwie. Wszyscy
chętni powinni jak najszybciej skon-
taktować się z ZW ZSMP lub z re-
jonowym wydziałem zatrudnienia.

ZARZĄD ODDZIAŁU Warszaw-
skiego Towarzystwa Przyjaciół Zie-
mi Łomżyńskiej założył „książeczkę
mieszkaniową dla Basi Zduń-
czyk, kilkuletniej łomżynianki,
którą postanowił się szczególnie za-
opiekować. Wręczenie książeczki: 22
maja w Państwowym Domu Dziec-
ka w Łomży.

ŁOMŻYŃSKIE „HANDLOWE
SOBOTY” zaczynają się od najbliższej
wolnej soboty, 22 maja. W tym dniu
zwiększone zostaną dostawy to-
warów, a ponadto w hali targo-
wej przy placu Żeglarskiego będzie
gielda odzieży i używanego sprzę-
tu. Każdy ma szansę pozbyć się
niepotrzebnych rzeczy i znaleźć coś
atrakcyjnego dla siebie.

GOSCIŁI W ŁOMŻY: przedstawi-
ciele centralnego aktywów partyjno-
państwowego, którzy spotkali się z
pracownikami zakładów pracy wo-
jewództwa — Jan Załęski, wicemi-
nister Rolnictwa i Gospodarki

Żywnościowej, Stanisław Gabrie-
lski, kierownik Wydziału Społeczno-
Zawodowego KC PZPR, Tadeusz
Markowski, lektor KC, Jerzy Smo-
liński, pełnomocnik BP PZPR na
województwo łomżyńskie, i Jerzy
Górski, jego zastępca.

Dwóch Czechosłowaków przyje-
chało podpisywać kontrakt o pracę
dla polskich grup młodych robotni-
ków. Pewien Francuz zatrzymał się
w Łomży, aby zapolować na ptact-
wo. Przybył również dyplomata li-
bijski.

Po przedstawicielach „Pegaza” od-
wiedziły nas kolejne ekipy telewizyj-
ne. Jedną z nich przygotowała
program z nowogrodzkiego skan-
sensu. Przy współpracy redakcji
„Kontaktów” powstaje również
trzygodzinny program „Sobota w
Łomży”.

OGŁOSZONY W MARCU br.
konkurs pod nazwą „Biblioteka
publiczna — dobrem każdego”, któ-
ry trwa od 1 kwietnia do 31 grud-
nia br., wywołał żywy oddźwięk
bibliotek publicznych województwa
łomżyńskiego i ich filii. Do
konkursu przystąpiło 38 bibliotek
(na 40) i 66 filii (na 77). Zadania
konkursowe związane z osiągnię-
ciem największej liczby czytelników
na 100 mieszkańców, będzie
realizować 88 bibliotek i filii; zada-
nia związane z organizowaniem o-
kolicznościowych imprez kultural-
no-oświatowych dla dzieci i mło-
dzieży — podjęło 36 bibliotek i filii;
stała formą pracy kulturalno-
oświatowej zamierza prowadzić 28
bibliotek i filii, a o palmę pierw-
zeństwa w działaniach na rzecz
organizowania nowych punktów bi-
bliotecznych będzie ubiegać się
15 bibliotek i filii. Prowadzenie sta-
łej formy pracy kulturalno-oświato-
wej zadeklarowały m.in. biblioteki
w Andrzejewie, Zarębach Kościel-
nych, Stawiskach i Trzciannem oraz
filie w Białych Szczepanowicach,
Chlebiotkach, Kłewiance, Beldzie,
Ławsku, Zembrach i Oddział dla
Dzieci Wojewódzkiej Biblioteki Pub-
licznej w Łomży.

wieści gminne

REKORDY SKUPU. W KOLNIE
na dwóch kolejnych skupach żywno-
ści rolnicy sprzedawali po 250 sztuk,
w Zambrowie po 200, a w Kłukow-
ie — 310.

RAJGRÓD. Sezon turystyczny
rozpoczął się w kempingach mies-
kańców już około setki osób, najwię-
cej z Białegostoku i Łodzi.

RADZIŁÓW. Spokojnie. Do Urzę-
du Gminy wpłynęła tylko jedna
skarga: odwołanie rolnika od de-
cyzji ukarania go mandatem za
nieporządek.

KLUKOWO. Przedsiębiorstwo
konserwacji urządzeń wodnych pod-
niosło ceny za swoje usługi: za-
miast dotychczasowych 80 zł od
pielegnacji 1 hektara pola, a 250 —
za hektar łąki, obowiązuje odpo-
wiednio: 20 i 600 zł. Spółka wod-
na przesłała odwołanie do Woje-
wody.

W GMINIE BOGUTY rolnicy
zakończyli remont drogi na odcinku
Lupianki — Adamy. W Woźnejwsi
(gmina Rajgród) rolnicy sami za-
kładają dęby na 20 hektarach me-
liorowanych pól.

MIĄSTKOWO. Władze gminne
przymierzają się do remontu świet-
licy, który obejmie naprawę da-

CIĄG DALSZY NA STR. 15

punkt widzenia młodzi z dyplomem rolnika

Kończy się rok szkolny. Odwi-
dziliśmy uczniów Zasadniczej Szko-
ły Rolniczej w Kłukowie, którzy
wkrótce wracają do gospodarstwa
rolniczego ze statusem kwalifikowany
rolników. Jak widzą swój start?

HANNA HERONIMCZUK z Kłuko-
wa: — Rodzice mają gospodar-
stwo o powierzchni 14 hektarów.
Jest ciągnik i zestaw maszyn towa-
rystycznych. Oczywiście, pozosta-
na wsi, bo tylko tam człowiek może
się cieszyć całkowitą niezależnością.
Przynajmniej jednak, że jest to nie-
ależność okupiona ciężką pracą. Chciałabym
posiąść średnie wykształcenie rolni-
cze.

ALICJA TENDERENDA z Małgo-
rzaty: — Nie mogę powiedzieć, że
chcę zrobić to czy tamto. Moje życie
określa sytuacja rodzinna. Trudno
żebym zostawiła moją mamę samą
i szła dalej się uczyć. Muszę jej po-
magać, bo jeden człowiek nie może
w gospodarstwie, a w dodatku kobie-
cie. Oboje mamy murowaną, ale do-
w przyszłości trzeba postawić nową,
bo ten drewniany ma już swoje lata.
Od pierwszych tygodni wynoszę
ze szkoły wiedzę, bardzo przyda-
mi się na co dzień. Nieraz też słu-
fachowcą mamie podczas uprawy
ziemi, zasiewów, a choćby w takich
trudnych przypadkach, jak chro-
lenie się krowy czy żrebiecie koby-
ły. Jednakże wiadomości nie zastę-
pią maszyn rolniczych. Dotychczas
wynajmowaliśmy je z SKR-u, a
teraz, po tych horrendalnych po-
wyżkach cen, naprawdę nie wiem,
jak to będzie. Chyba możemy je-
nie liczyć na pomoc sąsiadów, którzy
dotychczas nam nie szczędzili.

MALGORZATA HALCZUK
Uniewa Małego: — Ktoś musi na
wsi zostać, choć tu najtrudniej do-
ciera prosiak do prania, mydła
szampon. Koleżanki przyjeżdżają
na wakacje wydziały: „Ani klubu-
ani do kogo gęby otworzyć”. Bronię
życia na wsi; nie wierzą mi, wrę-
cą się śmieją. Jedną z nich ukończy-
szkołę mleczarską. Nigdzie nie ma
że dostać pracy. A tu, we wsi, brakuje
takich młodych rąk.

TADEUSZ KOSTRO z Kostrow-
Swięchów: — Cieszę się, że na wsi
zostają również moje koleżanki. W
ostatnich latach szczególnie z nimi
był kłopot. No, ja jestem w szczęśliwej
sytuacji. Gospodarstwo mam rozbudo-
wane, zmechanizowane. Jestem bardzo
wdzięczny moim rodzicom za ich za-
pobiegliwość. W tej chwili zaczyna-
nie budowy nowego domu — to
ogromny ryzyk. Czy do końca
starczy człowiekowi cierpliwości do
wydeptywania w urzędach każdej
śrubki i gwoździa? Czy wystarczy
złotówek w kieszeni?

ZGROMADZENIA. ZEBRANIA
KURSY i różne imprezy wymagają
w większości przypadków uzyska-
nia na nie zezwoleń. Wyłączeniem
od tego obowiązku są jedynie: zgroma-
dzenia w gminie i administracji pań-
stwowej; jednostki resortu obrony
narodowej i spraw wewnętrznych;
komitety FJN i OKON-y oraz ZSMP,
ZMW i ZHP, z tym że powyższe
winny powiadomić odpowiednią
jednostkę MO co najmniej na 24 go-
dziny przed planowanym terminem
zgromadzenia; zebrania wiejskie
organizowane przez soltystów i
wycieczki organizowane przez kół-
ców rolników państwowych / zakła-
dów pracy i szkół oraz przedsięwzięcia
podróży i turystyki; spotkania z
kaszki uroczystości weselnych, po-
grzebowych, rodzinnych, gdy odby-
wają się w gronie rodzinnym i w
we własnym lokalu gastronomicz-
nym; posiedzenia działających or-
ganizacji i stowarzyszeń; wyniki
ce z ich działalności statutowej; ku-
sy doskonalenia zawodowego.

wypisy z historii

- 20 maja 1881 r. urodził się Władysław Sikorski
- 22 maja — Dzień Pracownika Kultury, Dzień Drukarza
- 24 maja 1543 r. zmarł Mikołaj Kopernik
- 24 maja 1945 r. powołanie Politechniki Śląskiej i Uniwersytetu Łódzkiego
- 26 maja 1972 r. — ratyfikowanie przez Sejm PRL układu z RFN.

myśl z atestem

Dopiero po stworzeniu świata powstało mnóstwo niestworzonych rzeczy.

(Stanisław Jerzy Lec)

zdanie tygodnia

Jak tu jechałem, stary człowiek powiedział mi: tylko nie zabieraj głosu, bo ty gadasz raz do roku, a oni codziennie, to z nimi nie wygrasz.

(Soltys wsi Dzięgi Długie na rejonowej naradzie soltystów w Zambrowie).

Dobrze się stało, że na szpalcie „Śpieć” w 3 numerze sympatycznych „Kontaktów” ukazała się notka przypisująca mi wątpliwy zaszczyt zostania twórcą jedynego w Polsce antykwariatu dla sfer działających. Pomijam intencje autora, bo dla mnie ważne jest to, że ta notka pozwala mi niejako w sposób naturalny przedstawić szerszym kręgom społecznym pewne fakty i pewne zjawiska związane z relacją biblioteka publiczna — czytelnik.

Wojewódzkie biblioteki publiczne organizują, koordynują, doskonale i kontrolują pracę wszystkich bibliotek publicznych na terenie poszczególnych województw, programują ich sieć i rozwój, współpracują z terenowymi organami administracji państwowej w zakresie doboru kadry kierowniczej i obsługują bezpośrednio czytelników miast wojewódzkich. W Łomży istnieje w tej chwili pięć wypożyczalni publicznych i jedna czytelnia. Publiczność czytelnicza tego miasta otrzymała w roku 1982 dwie nowe wypożyczalnie, a w ciągu kilku najbliższych lat — dwie następne. Jest wielką szansą na uzyskanie czytelnika z prawdziwego zdarzenia przez partycypację WBP w kosztach budowy domu mieszkalnego i ta szansa nie zostanie zmarnowana. Jak z tego wynika, WBP w Łomży stawia na masowego czytelnika tego miasta i robi wszystko, by mu rzetelnie służyć.

A teraz ad rem. Rzeczywiście w marcu br. wydałem wewnętrzne zarządzenie, w którym pozwoliłem na wypożyczenie z czytelni WBP i z księgozbiorów podręcznych jej wszystkich filii na terenie miasta jednej książki lub rocznika czasopisma na jedną dobę (z soboty na poniedziałek na dwie doby), z wyjątkiem encyklopedii, słowników i trwałych informatorów, po uprzednim pobraniu przez bibliotekarza kaucji równej dziesięciokrotnej wartości ewidencyjnej książki albo rocznika czasopisma. Przesłanką społeczną tej decyzji były „Wytoczne w sprawie pomocy publicznych bibliotek powojskowych dla studiujących zaocznie” Ministerstwa Kultury i Sztuki z 21 lutego 1964 r., bo o studiujących głównie mi tu chodzi oraz świadomość tego, że bądź układy służbowe czy rodzinne, bądź lilipuci metraż najniższej w Polsce czytelni biblioteki wojewódzkiej (tu iza się w oku kręci — inni mają ich po dwie lub trzy) nie pozwalają każdemu znajdującemu się w pilnej potrzebie skorzystać z księgozbioru czytelni w godzinach jej otwarcia. Uzasadnienie ekonomiczne wysokości kaucji: reprografia jednej strony woluminu, który do czytelni lub księgozbioru podręcznego od czytelnika może nie wrócić, kosztuje 6 złotych. Do tego dochodzi koszt papieru. Zatem kaucja nie pokrywa nawet pełnego kosztu reprografii książki i w przypadku konieczności zlecenia wykonania odbitki Biblioteka będzie do tego interesu dopłacać.

Również w marcu br. podjąłem decyzję o obciążeniu czytelnika, który zniszczy lub zgubi książkę udostępnioną do domu w wypożyczalniach miasta Łomży i nie odda innej tego samego autora i pod tym samym tytułem, sześciokrotną wartością ewidencyjną tej książki. Przesłanką społeczną decyzji: w latach 1975—1981 czytelni WBP nie zwrócili 7366 książek o wartości ewidencyjnej rzędu setek tysięcy złotych i wartości rzeczywistej kilka razy większej. Zatem wielkie dobro społeczne, materialne i kulturowe — pisać ogólnie — zawisło w próżni, a najbliższa rewizja gospodarcza zada w tej sprawie twarde pytania; będzie się domagać jasnych odpowiedzi i z pewnością ustali winnego. Podstawy formalno-prawne decyzji: ustawa o bibliotekach (Dz. U. nr 12 z 1968 r., poz. 63) i instrukcja ministra Kultury i Sztuki z dnia 15 sierpnia 1979 r. w sprawie zasad ewidencji materiałów bibliotecznych (Dz. Urz. MKiS nr 9, poz. 37); mówi ona: „Roszczenia z tytułu braku lub zawińionych określa się wg rzeczywistej wartości poszczególnych jednostek, a nie wg wartości, w ja-

CIĄG DALSZY NA STR. 4

PIOTR SKAWSKI, nauczyciel Szkoły Podstawowej nr 3 w Zambrowie: — Pierwszym sukcesem „Kontaktów” jest sam fakt ich powstania: po wielu latach nasz region doczekał się własnej prasy lokalnej. Myślę, że gazeta zdobyła zaufanie czytelników, bo przedstawia różne punkty widzenia, rozmaite poglądy na naszą rzeczywistość. Większość artykułów jest bardzo obiektywnych; sprostowania są drobne i nie zmieniają istoty rzeczy. Nie ma powodu do podejrzenia dziennikarstwa o złośliwość czy załatwianie prywatnych porachunków na szpalcach. A propos sprostowań denerwuje mnie, że program imprez kulturalnych i sportowych nie zawsze jest aktualny. Wiem, że nie jest to wina redakcji, ale może informatorzy i organizatorzy poczuć się do większej odpowiedzialności za przekazywane dziennikarzom informacje.

Uważam, że w „Kontaktach” powinna być rubryka typu „Śladem krytyki”, czy „Nasze interwencje”. Informowanie czytelników o załatwionych interwencjach indywidualnych i społecznych zyska pismu nowych zwolenników.

Nie ma takiej prasy, która nie byłaby czuła na sprawy szkoły, wychowania młodego pokolenia, bo nikomu nie jest obojętne, jakie będzie nowe pokolenie, współdecydujące o losach kraju. Uważam, że w „Kontaktach” jest tej problematyki za mało.

Na ostatniej stronie najchętniej widziałbym rozmaitości i ciekawostki z województwa. Powinna być ona do czytania dla wszystkich, a nie skierowana do bardzo określonego czytelnika.

Sam najchętniej czytam Wymiatacza, bo sport i kultura fizyczna są moją pasją. Pozostałe artykuły czytam również — z mniejszym lub większym zaangażowaniem, w zależności od tego, w jakim stopniu dany problem mnie interesuje.

GENOWEFA SOBOCIŃSKA, nauczycielka ze szkoły podstawowej nr 4 w Łomży: — Pismo partyjne, czyli pismo — jak rozumiem — poruszające sprawy partii. Ale czy akurat trzeba tak dzielić na sprawy partyjne i nie? Partia przenika przecież wszystkie sfery życia, więc taka cezura nie wydaje mi się akurat potrzebna. A jeśli już, to niech sprawy partyjne będą pokazywane nie w sposób natrętny, a jedynie taki, by prawdziwością swoją przemawiały do ludzi. Nie powinno się akurat przemilczać tego, co z różnych względów wydaje się niewiarygodne, a mówić w sposób szczery i otwarty; wcześniej, niż zacząć po kątach szeptać o tym ulica. Przynosi to bowiem więcej szkody niż podanie prawdy, nawet tej najgorszej, o życiu partii.

Zyczyłabym sobie, żeby częściej prezentować ludzi partii. Czasami bowiem tak się zdarza, jak na przykład na wiecu pierwszomajowym, że ludzie nie znają tych, którzy są przewodnikami naszego życia politycznego w województwie. Chcielibyśmy, żeby „Kontakty” prezentowały ludzi partii; co robią dla sprawy odnowy, jakie mają inicjatywy. Przyczyniłoby się to do wzrostu autorytetu i poszanowania władzy, pozwoliłoby też lepiej zrozumieć sytuację, kiedy to — może tylko z pozoru — tak łatwo dyskredytuje się tych, którzy odeszli. Jak przywódców nie ma u władzy, to najczęściej mówi się o nich źle, zapominając całkowicie o tym, co zrobili dobrego. Złość przesłania wszystko.

„Kontakty” trochę się zmieniły, i to chyba wszyscy zauważyli. Zniknął otwarty klub dyskusyjny „Starcia”, którego bardzo żałuję. Jest to pozycja bardzo potrzebna dla nas. Uczył kultury dyskusji, wymiany poglądów. Przecież stan wojenny nie powinien zamykać możliwości publicznego ścierania się racji — wyjdzie to tylko na dobre; właśnie teraz jest nam to najbardziej potrzebne. Dyskusja na tematy polityczne nie powinna przenosić się do zamkniętych ścian domów; chcemy przecież wiele wiedzieć i mieć możliwość szczerej wypowiedzi. Żałuję również trochę diabełków — przyzwyczailiśmy się do „spraw z piekła rodem”, a szczególnie do kabareci. Chętnie byśmy o tym poczytali.

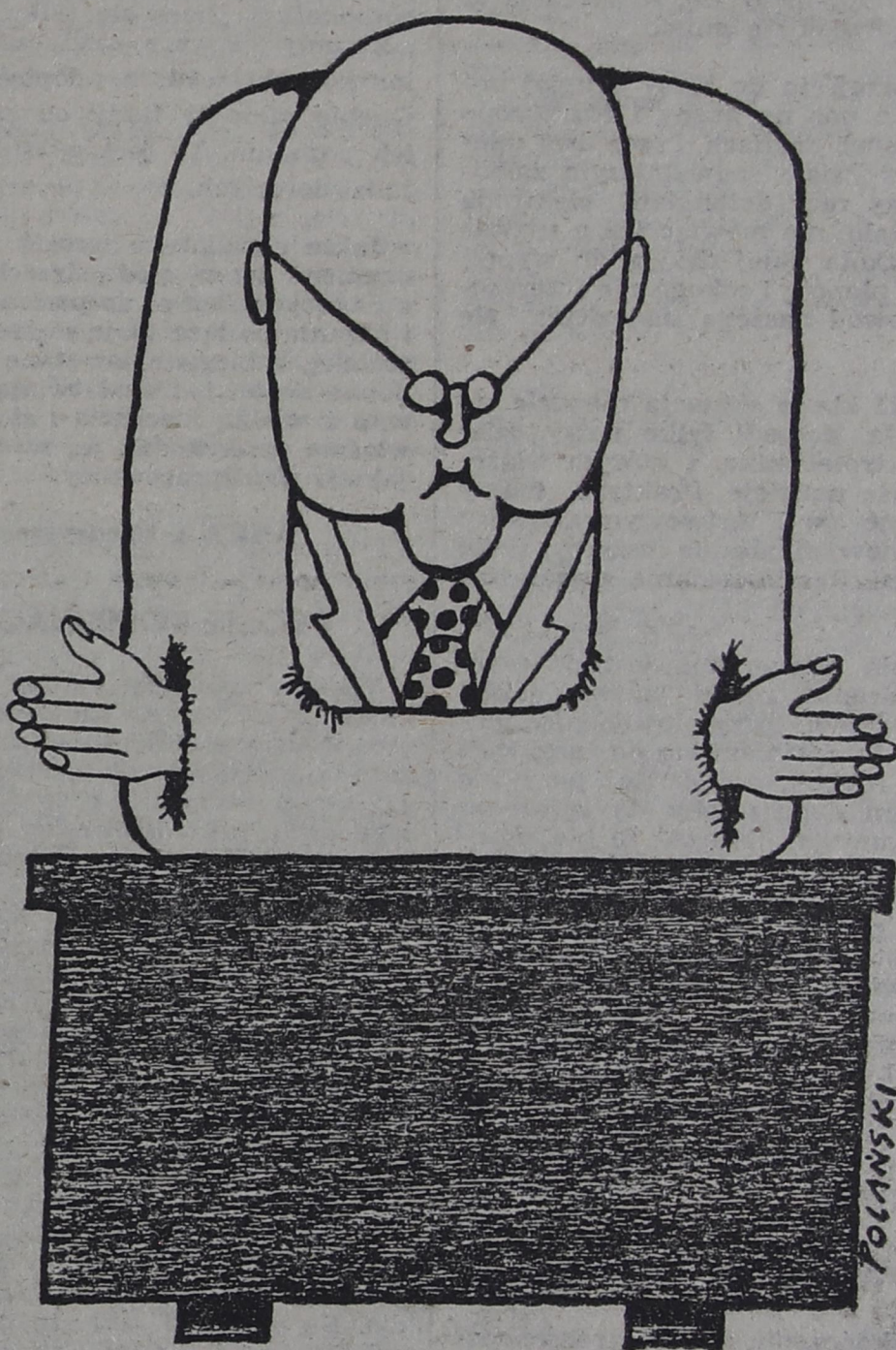
Co chciałabym znaleźć na łamach „Kontaktów”? Myślę, że wszystkim Łomżanom, i tym rodowitym i tym, którzy przybyli należałoby przypomnieć historię własnego miasta. Przecież wielu tu mieszka i młodych, i

starszych, którzy nie o Łomży nie wiedzą. Pytają mnie na przykład dzieci, dlaczego ulica nazywa się Bernatowicza i kto to akurat był. Łomża ma ciekawą historię i póki żyją jeszcze ludzie, którzy o czasach okupacji i przedwojennym mogliby dużo powiedzieć, należałoby to wykorzystać. Oglądając na przykład zdjęcie z przedwojennej manifestacji pierwszomajowej, sprowokowałam swojego dziadka, żeby mi o tym więcej opowiedział. Dowiedziałam się, jak to wówczas wyglądało, i o tym jak dziadek, pracownik poczty, i inni pomagali tym, których w czasie okupacji Niemcy chcieli aresztować. Łomża to nie były przecież cztery ulice na krzyż i parę domów, jak wielu ludzi teraz sądzi. Mielismy wśród mieszkańców również i Turków, a nawet specjalną turecką restaurację.

Chcielibyśmy wiedzieć coś więcej również o planach spółdzielni mieszkaniowej. Coś się buduje, wyrastają fundamenty i nigdzie nie można się dowiedzieć o tym z wyprzedzeniem.

Patrzę już na pismo od strony

szne, napisane dowcipnym językiem, ale mówią o kłopotach dnia codziennego i to jest najważniejsze. Ostatnio coraz więcej jest dla kobiet. Szczególnie na ostatnich stronach. Przydałoby się trochę tekstów z życia nauczycieli w oddalonych od metropolii szkołach. A prowadzimy tu ciekawe życie — trudne, ale ciekawe. Poprzednio byłam czytelniczką „Przyjaciółki” i „Kobiety i Życie”, ale teraz, przy tych cenach pism, musiałam wybierać. Wybrałam „Kontakty”: wszystko, co mnie interesuje, odnajduję na jej łamach. „Kontakty” są pismem partyjnym, ale nie odczuwam, jak i inni moi koledzy, by było redagowane tylko dla członków partii. I dobrze, bo sprawy dnia codziennego dotyczą wszystkich, całego społeczeństwa. Słyszałam o wkładce dla dzieci i młodzieży, jaka ma niebawem ukazywać się w tygodniku. To znakomity pomysł. Ale dobrze by było przy redagowaniu jej uwzględnić doświadczenia nauczycieli. I jeszcze jedno: „Kontakty” są trochę za drogie, może by tak udało się obniżyć cenę do dziesięciu złotych?



Rysunek Marka Polańskiego

swoich zainteresowań zawodowych: chciałabym spotkać więcej materiałów dotyczących młodych ludzi. Sam „Pamiętnik nastolatka”, to przecież za mało. Ponieważ jest to czasopismo regionalne, czasopismo społeczne, to i przekrój czytelników też się różnicuje. Czytam je ja, także moja córka... Chciałabym też, żeby znalazło się w nim i coś dla najmłodszych. Może specjalna strona, poświęcona im; jakieś szarady, zagadki, zabawy. Z dużym zaciekawieniem przeczytałam na przykład w „Polityce” wypowiedź dziecka na temat stanu wojennego. Myślę, że trzeba chyba więcej miejsca poświęcać sprawom młodych ludzi, wychowaniu, życiu szkoły, bo to przecież kształtuje się młody charakter, a dzieci nie tylko. Jak się wielu ludziom wydaje, czytają „Świat Młodych”.

WANDA MODZELEWSKA, nauczycielka Szkoły Podstawowej w Drogoszewie gm. Miastkowo: — „Kontakty” otrzymuję regularnie w Klubie „Książki i Prasy”. Bardzo chętnie czytam nasz tygodnik. Tak, a nie z, bo zdążyliśmy się z nim żyć. Czytanie zaczynam od drugiej strony. Znajduję tam wszelkie informacje z województwa podane esencjonalnie, no i są tam aktualne zmiany kadrowe na szczycie, a to ciekawi. Interesujące są pamiętniki nastolatków — chętnie czytane przez naszą młodzież. Obowiązkowo nie opuszczam żadnych śpieć, które są śmie-

FRANCISZEK NADOLNY, nauczyciel historii i wychowania obywatelskiego w Szkole Podstawowej nr 2 w Kolnie: — Pismo partyjne; nie stawiałbym żadnych barier tego typu, że ma ono trafiać tylko do członków partii i nieśię treści li tylko o niej. Musi być otwarte i dawać czytelnikom przede wszystkim rzetelne informacje o środowisku, regionie. Jeśli chodzi o mój pogląd, to jestem przeciwnikiem jakiegokolwiek podziału na należących do danej organizacji i nienależących, na uprzywilejowanych i przynależności i pomijanych. Tę otwartą formułę chciałabym także widzieć we wszystkich pismach partyjnych — „Kontakty” z pewnością zmierzają do tego modelu. Szczególnie cenię sobie organizowane przez nie dyskusje panelowe, choćby ta, do której nierzadko myślami wracam, z Osóbką-Morawskim, byłym premierem Rzeczypospolitej. Właśnie to było novum w Łomżyńskim.

Czego mi w „Kontaktach” brakuje? Może więcej wywiadów z ludźmi z głębokiego terenu; szerszej prezentacji ich codziennych kłopotów, które niby wszędzie są takie same, ale przecież inne dla każdego człowieka. I jeszcze jedno, za co też sobie chwale „Kontakty”? — Podawane informacje są ciekawe, wręcz kuszące do przeczytania, a to się już nazywa umieć coś dobrze kupić i tak — iprzedać.

sondaże



barchanowa rzeczywistość

UCZ SIĘ SAM

Kiedy przed trzema laty zacząłem edukację w tej szkole, praktyczna nauka zawodu nie dała mi niczego. Przez te 10 miesięcy dawano nam tylko do rąk pilki do cięcia metali i dziesiątki metrów kątownika. Nasze dzieło polegało na tym, aby pociąć go na wymiar własnie tą pilką, której część tnąca była często w stanie opłakanym. Cieliśmy tak całymi tygodniami w pocie czoła po to tylko, aby szkoła mogła osiągnąć narzucone na nią plany. Korzyść z tego dla nas — żadna, bo wielu z moich kolegów nie miało zielonego pojęcia, jak założyć nowy brzeszczot do tejże pilki. Na próżno ludziliśmy się, że sytuacja ta kiedykolwiek się zmieni.

Po przejściu do klasy drugiej podzielono nas na grupy i rozrzucono po różnych działach. Przez dwa miesiące w dziale spawalniczym zaledwie trzy razy dotknąłem elektrodą do metalu, nie mówiąc już o spawaniu. Szkoła dalej dążyła do wypełnienia planów i nikogo nie interesował powód naszego znalezienia się tam.

W III klasie sytuacja niewiele się zmieniła, doszedł tylko nowy dział — elektrotechnika, z którym wiąże się duże nadzieje. Praktyki mamy odbywać w Państwowym Ośrodku Maszynowym, ale nie wszyscy, tylko wybrani. Reszta zostanie w warsztatach szkolnych. [...]

Szkoła uprawniona jest do przeprowadzania nauki prawa jazdy. Kandydatów przyjęto jednak niewiele. Ja dostałem się na kurs już przed rokiem, ale do tej pory nie zostałem dopuszczony do egzaminu państwowego, dlatego że nie skończyłem jazdy samochodem osobowym. Tu winę za tak wielkie opóźnienie ponosi instruktor. Zaczęłem go często odwiedzać w domu, ale on odprawia mnie tym samym powiedzeniem: „Nie mam czasu, przyjdź za tydzień”. Dowiedziałem się, że przyjął nową grupę kursantów, a nas, wcześniejszych, odsunął na bok.

HENRYK z Konińskiego
(lat 17)

POWROT DO STRZECHY

Po ukończeniu szkoły średniej rozpoczęłam pracę i dopiero wówczas spostrzegłam, że tamten okres był snem, a rzeczywistością jest życie ludzi, wśród których przebywam teraz. Nie są to koleżanki przechwalające się ciuzzkami, lecz wielkie damy, księżniczki, zwalające pracę na młodsze pracownice, same zaś mają czas na malowanie się, wielogodzinne picie kawy, przeplatane paleniem papierosów, na plotki i obmowy bliźnich. Gdy w szufladzie zbierze się trochę zaległości, biegną na urlop lub przynoszą zwolnienie od znajomego lekarza.

Tak więc jestem tym kopciuszkiem, pracującym ciągle za siebie i za kogoś. Nie umiem się skarżyć — bo i komu: kierownik dostaje od czasu do czasu długopis amerykański itp., więc patrzy na moje koleżanki z uwielbieniem. Wreszcie i ja przywykłam do tego, że muszę robić za kogoś. Nikt nie spostrzegł we mnie tej zmiany, bo zawsze byłam uśmiechnięta i — jak to one nazywają — „równa”. [...]

Teraz zmieniłam posadę — pracuję w swoim zawodzie; nie jest mi łatwo, bo jestem za wiele spraw odpowiedzialna, ale pracuję wreszcie sama za siebie i na własny rachunek.

Mam tendencję do obserwowania ludzi. Martwi mnie bardzo fakt, że w większości przypadków starsi pracownicy dają zły przykład młodzieży; liczą się u nich tylko pieniądze. Wiedzą ile im się powinno należeć za pracę, ale nie widzą tego, jak

pracują. Nie mogą patrzeć na to, że taka jest różnica w załatwianiu klienta elegancko ubranego, a np. skromnego rolnika. Strach pomyśleć o tym, że dziecko dusi się przy porodzie, a położna czeka na łapówkę od matki. A przecież i położne, i urzędniczki to matki córek w moim wieku! Jak one wychowują młode pokolenie? A potem mają pretensję do młodych, że miejsca nie ustępują, że napadną na sklep, a wreszcie — zamordują. Kto nas wychował? W wielu przypadkach — ulica, bo rodzice gromadzili nam majątek. A co z tego majątku, gdy syn będzie w więzieniu, i kto się tą matką zaopiekuje? Chyba dom starców.

Na każdym kroku kręactwo, zachłanność i „liczę się tylko ja — nikt inny”. Prawie każdy zdeptałby innego człowieka, by dopiąć celu. Gnębią mnie te fakty od początku ich poznania. To jest właśnie życie ludzi dorosłych.

Jakże chciałabym wrócić do rodzinnego domu pod strzechą, do kwitnących sadów, do pasienia krów i hasania po łące. Boję się, że gdy tu zostanę, z biegiem lat stanę się podobna do tej pani załatwiającej klienta z wielką niechęcią i złością, bo właśnie przeszkodził jej w obmowie jakiejś współpracownicy.

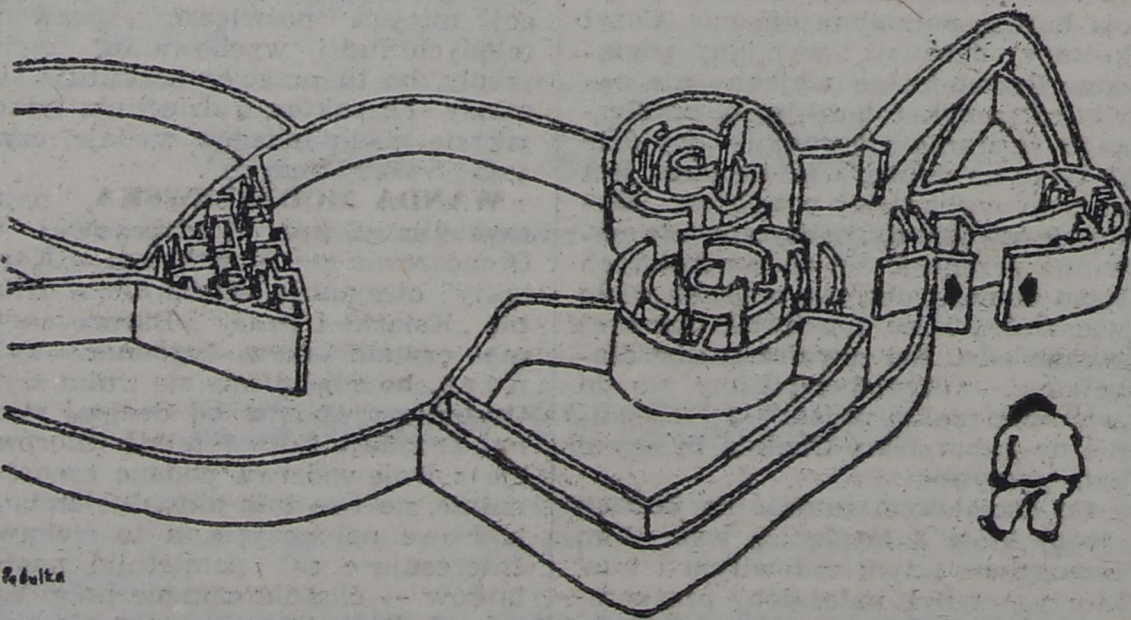
ANKA z Międzyrzecza Podl.

PROSTE KOMBINACJE

Wioska nasza jest bardzo mała i cicha o tej porze. Liczy 34 domki jednorodzinne. Pół kilometra za wsią znajduje się suszarnia pasz dla bydła (teraz nieczynna z powodu małego dochodu). Będzie na przyszły rok przeniesiona do pobliskiego PGR-u.

Pracowało tu niewiele osób ze wsi, a kilka dowozili z sąsiednich wiosek. Choć na bramie wejściowej pisało, że nie zatrudnionym wstęp surowo wzbroniony, nie było to przestrzegane i kto chciał, wchodził tam lub wjeżdżał, i czego potrzebował — brał. Nieraz było słychać, jak mówiono: to dostałem albo to, zawsze po niższej cenie. Więc skąd suszarnia mogła wyjść na swoje, skoro każdy wchodził i co było potrzeba, po cichu dostał — taniej niż w sklepie. Na przykład taki szpagat: kto dał butelkę, ten miał. Czemu nie? A może taczkę skombinujecie, bo stara nam się porozwalała? Tak, da się zrobić.

Ludzie nie mają sumienia, okradają jedni drugich, aby mieć co do garnka włożyć. Bo pensji ledwo-łedwo starcza do następnej, a jak się jeszcze pije i pali, to nie ma mowy! Więc co robić? Wypić też trzeba, bo jeden może, to i drugi powinien. Idzie taki, kradnie mienie państwowe, niesie, by sprzedać. Kto kupi, jak nie rolnik? Rolnikowi zawsze coś potrzeba: czy ropy, czy widel, czy zębów do jakiegoś sprzętu. Wszystko się załatwi. I tak idzie, aż ktoś się tym zajmie.



Rysunek Andrzeja Podulki

Niedawno pracownik tej suszarni wywoził susz potajemnie dla rolnika mieszkającego o kilka wiosek dalej. Słyszałem, jak mówili ludzie: „Raz się udało, drugi raz złapali”. Chłopak by siedział, żeby nie znależć. Ojciec zakręcił się raz, drugi i załatwione! Zapłacił 40 tysięcy złotych i syn dostał 4 lata w zawieszeniu. A wpadł przez chciwość na darmość i przez złość dziewczyny, która była wagową w tej suszarni. Ale jaka to złość? Gdyby go nie wydała, to byłaby sama ciągana za krdziez. Ludzie mówili, że go ostrzegali, ale nie posłuchał.

JADWIGA z Łomżyńskiego

DZUNGLA LUDZKA

Tak więc zaczęłam pracować. To chyba jakaś kara boska, tylko nie wiem, dlaczego taka straszna. Nie potrafię zrozumieć, jak ludzie wytrzymują w jednym przedsiębiorstwie dłużej niż rok, ba, dochodzą nawet do pięknych jubileuszków. Zakłamanie, nierobstwo, łatwizna, egoizm, to dostrzegane przeze mnie cechy ludzi, z którymi współpracuję. Wieczne imieniny, a co za tym idzie — ciasteczka, herbatki, kawki i... alkohol.

Boki zrywam ze śmiechu, gdy patrzę na tę całą szopkę. Jeśli tak pracują dorośli ludzie i tak postępują, to ja dorosła być nie chcę. To, co obecnie dzieje się w Polsce, nie mieści się w mojej młodej głowie. Jestem jednak przekonana, że jeśli chcemy poprawy stanu gospodarczego, należy spojrzeć najpierw na własne podwórko. Ludzie zawsze mają pretensję do wszystkich, tylko nie do samych siebie. Niech każdy sam popatrzy, co robi, żeby było lepiej. Tymczasem słyszę tylko: że brak, że źle, że to skandaliczne... A jak wszystko wygląda w zakładzie produkcyjnym? Jeden drugiemu zaradkości, oczernia za plecami, zrzuca na barki bliźniego co się tylko da, byle być z dala od kłopotów, byle spokojnie usiąść w domu w miękkim fotelu.

Nie potrafię z tym wszystkim się pogodzić. Na początku płakałam, teraz chce mi się śmiać. Przyjdzie młodego pracownika do przedsiębiorstwa to ogromna radość dla wszystkich wcześniej pracujących. Dlaczego? Można pozbyc się co nudniejszych zajęć, bo ten — „młody i głupi” — wszystko zrobi. Jeśli każdy młody człowiek od pierwszego dnia będzie wykorzystywany, to zacznie się przekształcać w bezwzględny i bez skrupułów obywatela Rzeczypospolitej. I tak kółko się zamyka. Żyję tylko perspektywą ponownych egzaminów na studia. Boję się myśleć, co będzie, gdy poniosę porażkę.

DOROTA z Poznańskiego

kontakty kontaktów

DOKONCZENIE ZE STR. 3
kiej są zewidencjonowane”. Biorąc pod uwagę fakt, że rzeczywistość toś książek zakupionych w latach czterdziestych, pięćdziesiątych sześćdziesiątych wzrosła średnio kilkanaście razy, a zakupionych w latach siedemdziesiątych — co najmniej kilka razy, oraz uwzględniając to, że książka wydana w 1982 droższe w dalszym ciągu, wartość sześciokrotnej wartości zniszczonej lub zagubionej książki jest zatem, którego wysokość została kreślona bardzo ogólnie. A przecież dochodzą jeszcze koszty związane z „obsługą” książki po zakupieniu jej (zaewidencjonowanie, katalogowanie, konserwacja), które podnoszą dodatkowo rzeczywistą wartość książki udostępnianej w swoim czytelnikowi. Kwoty przywrócone państwu w postaci sześciokrotnej wartości ewidencyjnej książki zniszczonej lub zagubionej gdzie się przeznaczać na zakup nowych książek.

Kończąc — za nową w „Spieglu” dziękuję, a jej autora proszę o dalsze interesowanie się sprawami bibliotek publicznych i czytelnictwa powszechnego. Myślę jednak, że w tym celu ochronę książki jako wspólno-go dobra materialnego i kulturowego w kategoriach groteski i refleksji atakować nie można. pogłębia jej kryzys.

JOZEF PALKA
dyrektor
Wojewódzkiej Biblioteki
Publicznej

Pragnę wyjaśnić redaktorowi Stanisławowi Zielińskiemu, autorowi artykułu „Czyrak na wygodzie” i mieszczonego w 5 numerze tygodnika „Kontakty”, iż obywatel, prowadząc z mną wywiad, z tym dniem widział i najprawdopodobniej słyszał śmieć twierdzić również że nie zwracał uwagi z kim rozmawia i co osoba udzielająca wyjaśnień mówi.

Od momentu podjęcia pracy w Urzędzie Gminy w Klukowie nie rozmawiałem się sprawami opieki społecznej i do chwili obecnej nie mam wiado-mo-ści o ten dział służby społecznej przyznaje swoim opiekunom. Udzieliłam wyjaśnień tylko i wyłącznie na temat historii przejęcia gospodarstwa rolnego państwa Kamińskich na rzecz Skarbu Państwa, a tych informacji właściwie brakuje w artykule. Ponadto pragnę również zwrócić uwagę na fakt, że wszystkie dane zamieszczone w moim wymienionym tekście zostały podane przez inną pracownicę tegoż urzędu.

Proponuję więc autorowi wrócić do wyjściowych materiałów i jeszcze zapoznać się z całością sprawy. Teren gminy Klukowo jest terenem wiejskim, zaś ludzie na niego żyjący i mieszkający nie są wieśniakami bez żadnych zasad moralnych i etycznych. Podczas prowadzonych rozmów nie mają przed sobą pestki i nie rozmawiają „wydubując z renka ze słonecznikowych pancerków”.

Jestem bardzo szczerą i serdeczną. Jeśli redaktor Stanisław Zieliński odczuwa ogólny brak tłuszczów roślinnych (przede wszystkim oleju), bardzo proszę, niech zwróci się do mnie, a otrzymam na ten artykuł kartkę i całą moją rodzinę.

MIROSŁAW PUCHACZ
Klukowo

Od autora: rzeczywiście, jest to tak urocza, serdeczna i szczerą, zapatrzywszy się w Panią, zapomniałem o całym bożym świecie. W tym razem postaram się zapanować nad swoimi afektami. Gratuluję pierwszego miejsca w nadesłanych biaskawicznej odpowiedzi na moją publikację. Tylko po Pani mogłoby się tego spodziewać i cieszyć się, że nie zawiodłem. Z kartek na olej skorzystam, bo jest on już poza gładem. Jednakże zachowam wdzięczność za szczere chęci wsparcia mnie w czasie jego posuchy.



Wiekowa spuścizna pozostawiła nam sołtysa, który, jak wieś wsią, zrosł się z krajobrazem lokalnej władzy. Sołtys to ktoś! Ludowa władza wiązała z nim wiele nadziei, jako że był to z reguły człowiek mający posłuch we wsi — ustanowiono go organem wykonawczym gromady i organem pomocniczym zarządu gminnego. Później, dodano odpowiedzialność za niepowodzenia realizacji polityki rolnej: „To sołtys winien, że...”. Dlatego też, by świecić przykładem, wprowadzanie zaczynał od siebie: pierwszy wstępował do spółdzielni produkcyjnej, do partii, pierwszy prowadził na pola rumaki stalowe, nasłuchiwał melodii płynącej z kołchoznika i przekręcał kontakt w ścianie, by zabłysła pierwsza żarówka.

W 1950 władza zmieniła trochę charakter sołtysa, rezygnując z jego funkcji wykonawczej. Już po październiku, od 1958 roku, sołtys stał się tylko łącznikiem między społecznością wiejską a gromadzką radą narodową; od 1973 roku — między sołectwem a gminną władzą. Wybory na sołtysa do dziś uważa się za najbardziej demokratyczny sposób mianowania władzy. Urząd natomiast twierdzi, że jest to demokracja rozumiana w sposób prosty — niepotrzebnie wywołująca lokalny ferment.

TEN KTÓRY JEST

Przedstawiciel elity wioskowej w Lubowiczu Wielkim, gmina Klukowo, ani na co dzień, ani od święta nie wyróżnia się specjalnym strojem, po którym można by już na odległość wywnioskować reprezentanta władzy.

Jak przystało na demokratę i wiosenną porę roku szaro-gumowy strój konweniuje z błotną kolorystyką wsi. Tylko biały napis na czerwonym tle, zdobiący lice domu, wyróżnia gospodarstwo. Sołtys, Mieczysław Puchacz, choć funkcję urzędnika pełni dopiero od roku przyzwyczaił się już, że przed chałupą co jakiś czas pojawia się ktoś obcy i wali, jak w dym, prosto do niego. Przeto bez żadnych ceregieli, w sąsiedzkiej, zawsze ciekawskiej asyście, wchodzimy do kuchennej izby, która — tak jak wszędzie — przeznaczona jest na sołtysowe biuro. Władza usiadłszy przy kuchennym stole, nie zdradza wielkich chęci do rozmowy: słowa leżą z rzadka, jakby usta wypełniała po brzegi dopiero co wypita szklanka octu. Bo sołtysowa funkcja, to przecież pełna dyplomacja: powiesz za dużo przy sąsiadach, to później oskubią ci głowę, przy obcym — jeszcze gorzej. Więc słowo musi być takie, żeby nie zraziło; obcy pojadą, a sołtys tu żyć musi. Lepiej niech mówią inni, sąsiedzi.

Wieś, jak zwykle, ulewa przed każdym obcym narzekaniem, w zależności od domniemanej ważności przybycia. Ale bez większej nadziei na poprawę. Prózne gadanie. Trzeba jednak sobie ulżyć: — Nie ma bułów, gwoździ, wideł, garnków, sagów, parników, ciągników, kół, łopat, pługów, a przecież gospodarz na wsi wcale nie jest taki „wymagalny”. On chce mieć tylko podstawowe niezbędne w pracy, narzędzia. Czy godzi się tak go traktować?

Sołtys, jako odbiorca i nadawca narzekania, powinien nieść je do gminy: — A warto to harkotać? I tak się nie zmienia, choćbyś czarną łeczkę przez zielone pola wydeptał.

Więc już u źródeł informacja płynąca prosto z ziemi, zostaje zakłócona naturalnym wyszczupleniem, który stworzyła dotychczasowa nieskuteczność przepływu informacji. Natomiast obowiązki łącznika — gminna władza do wsi — wypełnia skrupulatnie i solidnie. Powiadomi każdego o zebraniu, zbierze podatek na czas, wywiesi kartkę z informacją przy zlewni mleka.

Wieś spośród kandydatów na to stanowisko wybrała właśnie takiego, który by miał średniej wielkości gospodarstwo „a więc czasu więcej niż inni, bo tam przecież pracy od metra”; mieszkał tak pośrodku wsi, żeby każdemu było nie za daleko, no i nie naraził się nikomu. Wszystkie te warunki spełniał właśnie Puchacz, jeden z trzech kandydujących do wioskowego splendoru. Teraz jednak sołtys Puchacz ze sceptycyzmem się do niej odnosi: — Co to daje sołtysowanie! Obowiązek duży, i tyle. Ciągłe lataj na narady, przekazuj, organizuj zebrania na wsi. Każdą chałupę wieczorem trzeba odwiedzić, żeby wszystkich powiadomić. Jeszcze teraz ten harmider z kartkami.

Część obowiązków spada zawsze na sołtysowe dzieci. Pełnoletnia córka Janina odbiera kartki na reglamentowane towary — tam gdzie trzeba kontaktu z gminą sprawę lepiej załatwi. Zresztą „dziedziczka” jest wyreka w wszystkim: zaorze, zasieje, zabronuje lepiej niż chłopak. A jeszcze z matką biorą chałupniczo ze spółdzielni „Apis”. Natomiast babcia Anna przedzie usługowo owczą wełnę: — Musimy mu pomagać, sołtysowanie to żadne profita, a tylko odciąganie od roboty.

W istocie trzy-czteroprocentowa prowizja od zbieranego dwukrotnie w ciągu roku podatku wśród rolniczych gospodarstw nie jest zachętą do urzędniczego wysiłku.

Dziś jest akurat kartkowy dzień, więc sołtysowe drzwi prawie się nie zamykają. Liczone po raz któryś z rzędu niebieskie i brązowe świstki znikają za pazuchami wchodzących.

TEN KTÓRY CHCIAŁ

— Nasz nowy sołtys — sumuje narzekania owego Henryka Łuniewski — ma krótki staż pracy. Jak pobydzie dłużej, to jeszcze będzie chwalił. Człowiek przecież w sile wieku, pracowity; nie pijak, nie łobuz, nie skąpy. Co od niego więcej chcieć?! Będę go popierał przy każdych wyborach. Taki sołtys może być aż do emerytury. U nas rządzić jest łatwo, choć to wieś duża. Może na początek było trudniej, bo to do połowy mieszkali parcelanci, a z drugiej strony szlachcice. A teraz różnice się pozacierają i nie ma żadnego poważnienia. Wszyscy tacy więcej ambitni, taki w nich honor, żeby po prostaku nie chodzić do kogoś i wygarnąć co się ma na myśli. U nas ludzie w zgodzie żyją, w sąsiada nie biją.

Łuniewski zaprawiony jest społecznym działaniem — 15 lat w kółkach rolniczych, wiele w straży pożarnej. Ten kilkuletni kontakt z władzą — najpierw gromadzką, później gminną — wyrobił mu spojrzenie odmienne od reszty: racjonalne, ponadlokalne, nierzadko godzące, z tego właśnie względu, nawet w interes wioskowy.

W ubiegłym roku trzeba było zrobić ponowne wybory sołtysa, bo ten demokratycznie wybrany, zarządził sobie wycieczkę do Stanów i na trzy miesiące rzekł się z funkcji. Mógłby ją pełnić podsołtys, ale — jak cała wieś zgodnie orzekła — kwalifikacji po temu nie miał. Więc w czas dla wsi gorący stanął do wyborów trzech: Henryk Łuniewski, Kazimierz Bazylewicz i Mieczysław Puchacz. W pierwszej turze żaden z kandydatów nie zdobył nad innymi przewagi; dopiero w drugim tajnym głosowaniu Puchacz przeszedł dwiema nastoma głosami.

Te wybory nie miały nic ze znanej z dawnych lat zadziorności. Zrobiono je byle szybciej, byle rytualnie z głowy. Zresztą nie był to czas żadnym wyborem sprzyjający: społeczność wiejska nasłuchiwała solidarnościowego poszumy. Może dlatego, że Łuniewski uważany był za kandydata gminy — co na ówczes

nie liczyło się na plus — w wyborach przepadł?

Łuniewski czeka więc na prawdziwe wybory, bo tamte w jego przekonaniu się nie liczyły. Zresztą, jak twierdzi, w odpowiednim momencie kazał się z listy kandydatów skreślić. Co będzie się płać. Sołtys to parobek wsi. A i tak żadne zebranie bez niego się nie obejdzie. Ludzie przychodzą, proszą żeby pisał do władz, bo najlepiej wie gdzie i do kogo.

— Ale tak po prawdzie razowy chłop — jak nazywał Łuniewskiego naczelnik — nie zdobywa popularności wśród wioskowej społeczności. Surowo podchodzi do sprawy rent, nie uważa je za przemyślane do końca. „Żeby tak grozili państwowy marnotrawić. — powiada. — Listonosz teraz to więcej przynosi na renty, niż sołtys zbierze rolniczego podatku. Jaka to jest polityka, że jednym renta inwalidzka się nie należy, a inni ją dostali. Zapewne za pieniądze. Śmieją się teraz w kółka i gadają, że dziś na wsi tylko świnia nie ma pieniędzy. Ojciec dostaje rentę, a synalek-pijak zamiast mu dać wikt i opierunek, ostatni grosz z ręki wyciągnie i przepije. Pieniądz państwowy idzie na marne...”

— Ciężko jakoś dojść do tej naszej wsi. Zabrać się społecznym wysiłkiem do roboty — powiada nam niedoszły sołtys. — A tyle potrzeba! Od dziesięciu już z górą lat nie można się z nimi dogadać w sprawie budowy remizy strażackiej. Tyle społecznego, co z ziemi murów wylazło. Albo taka profilaktyka strażacka. Te śmieci, rozwalone parkany, nie zamiecione ulice. Ja tam lubię porządek. Ale we wsi nie zobaczysz nikogo, kto by zdjął swe rę-

pisem „Sołtys” została przybita do jego chałupy, żeby przypadkiem Koc nie zrezygnował. Czy ktoś mógłby się oprzeć takiej jednomyślności?

Kandydat na sołtysa spełniał wszelkie gminne warunki: był radnym, po linii partyjnej — członkiem Komitetu Gminnego PZPR i miał poparcie całej wsi. Ale całego splendoru starczyło tylko na czas wyborów — później już samotna harówka, bo wieś potrzebę uczestnictwa w życiu publicznym nasyciła samymi wyborami.

Co tydzień jechał do władzy. I choć te pomagały mu we wszystkim, i tak czasu starczało dla gospodarstwa niewiele. Kiedy Koc wypełniał swoje sołtysowe obowiązki — wszystko spadało na barki drobniutkiej i szczupłutkiej żony Wandy.

— I tak ci za to społecznikowanie podziękowali — mówi Kocowa. — Jak mi koń zdechl, to nie dość, że PZU mnie okpiło, to jeszcze podatku w gminie nie chcieli umorzyć. Nigdy więcej na taką funkcję ci nie pozwolę. Ile to czasu zmitrężyłeś! Nikt ci za to nawet nie podziękował. A sołtys leciał i do sądu na świadka w sprawie o rentę, i jak był remont w kościele, to ustalał kolejkę, chodził, wyznaczał: tego z koniem, tego do łopaty. Do tej pory Tomczuk gniewa się o ten sklep, coś o niego zabiegał dla wsi. A ze służbą rolę jak było? Wpadał jeden za drugim: „Sołtysie, załatwcie!” I zostawiał papierzyska. Mój brał listę w rękę — nigdy nie odmówił — siedział po sąsiadach i wpisywał: jakie zboża, jakie odmiany. W pracy urzędasów wyręczał, a ja miałam tylko urwanie głowy.

Byli sołtys, przysłuchujący się całemu biadoleniu żony machnął kolejnym petem do miski z obierkami.



ce z płota i złapał za miotłę. Wiele można by zdziałać, ale te 45 gospodarstw trudno scalić w społeczność o wspólnym interesie.

TEN KTÓRY BYŁ

Byli sołtys, Jan Koc, w czerwcu ubiegłego roku wykupił bilet za ocean i rzekł się urzędowego zajęcia. Chciał tylko na pewien czas, ale...

Sołtysował dwa lata z czubem. Te jego kwietniowe jeszcze wybory na sołtysa wbiły mu się w pamięć. Sam moment nie zajął w liturgii politycznej zbyt wiele miejsca, gdyż wieś ustaliła z góry, i to jednogłośnie, że sołtysem zostanie właśnie on. Nawet kandydata na wyborczego „zajacę”, o przegranej z góry, nie było. Na miesiąc przed głosowaniem, w triumfalnym pochodzie tablica z na-

ZZA GMINNEGO BIURKA

Stanisław Mazur, naczelnik gminy Klukowo, powiada, że sołtysowanie w Lubowiczu ogranicza się teraz tylko do zbierania podatków i rozdania kartek na towary reglamentowane. Z reguły sołtysi chcą coś dla wsi robić: i naczelnikowi „dokuczają”, próbując zorganizować mieszkańców. Tak jest w Kucynie, w Gródku, w Uniewie Małym, Sobolewie, Zalesiu Starym — chcą i potrafią działać. Sołtys Koc starał się o tą wieś: drogę poprawiono, przepusty zrobiono, zorganizowano punkt sprzedaży pomocniczej. A ten, co jest, ot, taki sobie: za cichutki. Żeby miał inicjatywę to nie powiedziałbym. Jak na razie nachodzi mnie z rzadka — może z czasem nabierze wprawy, żeby dopominać się głośnie o swoich.

ALICJA ZAGÓRSKA

kryteria



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

mowania swego losu z pokorą? Trudno jednak całkiem wyzbyć się marzeń o cygańskim koczowniczym życiu, kolorowym taborze, fantastycznych strojach i cudownej muzyce. Pierwsza próba uprowadzenia go przez Cyganów powiodła się znakomicie: zabrał swoje rzeczy i pojechał z nimi do Białegostoku. Gdy go potem odnaleziono, był głodny, niemal goły i bardzo chciał do domu. Nikt z cygańskiej braci nie interesował się już nim. Gdy umierał mąż Janiny, Jasio miał już 15 lat i wszystko wskazywało na to, że kłopoty się nie skończą. Prosił więc, żeby nie miała skrupułów i oddała go do Domu Dziecka, bo sama nie da sobie z nim rady. Jednak zostać samej w czterech ścianach, nagle pustych i cichych, było ponad jej siły. Rozstania po tylu wspólnych latach nie są łatwe. Dziś Jaś ma 22 lata. Pracuje. Nawet nieźle zarabia.

Polacy? Nie pilnują swoich rodzin, wyzbęda się nawet dziecka, żeby nie miało całe życie matki prawdziwej. Nie wiem, co będzie dalej z moim losem. Poszedłbym do zespołu cygańskiego, ale już nie umiem języka. Może bym się ożenił? Do dziewczyny trzeba mieć dobre serce — ja dobre serce mam, ale czy zechciałaby która takiego głupiego Jasia, cyganioka bezdomnego? Chyba zostanę bracijskiem zakonnym. Będę się modlił za te wszystkie matki, żeby nie zostawiały swoich dzieci...

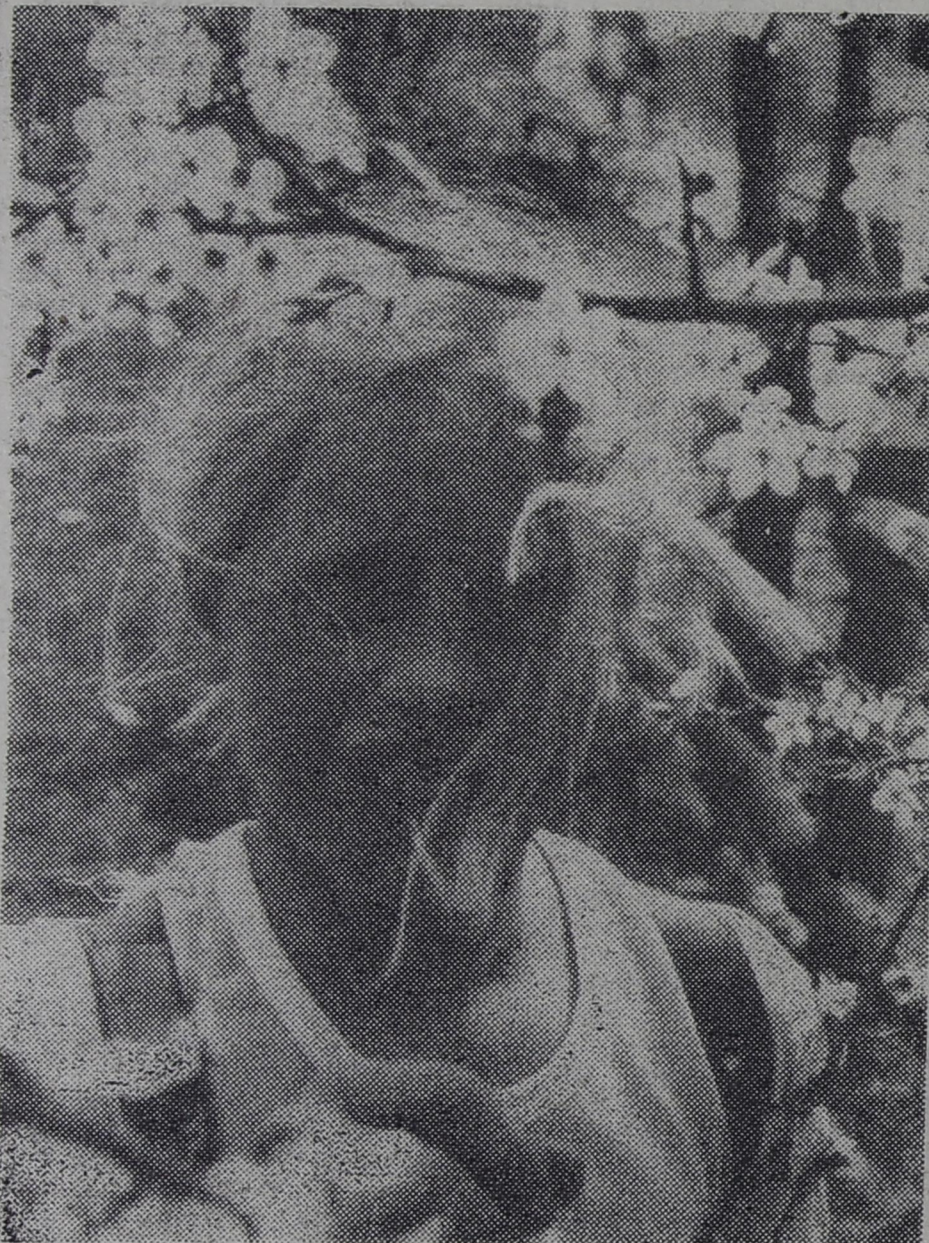
Kryje w kącie wstydlive niespodziane lzy. Pani Janina dziwi się jego pobożności: — Nie ma niedzieli, żeby opuścić mszę świętą. Tak bardzo chciał adorować przy Grobie Pana Jezusa, że wziął wolne i trzy dni i noce siedział w kościele. Kiedy poszłam zanieść mu jedzenie i zobaczyłam go tak rozmodlonego, zapatrzonego w Jezusa, to aż się

— O mnie pamięta, bo czasem przysyła kartki świąteczne. Coraz rzadziej. Kiedy się dowiedziałam o jego rozwodzie, napisałam mu długi list, w którym wyłożyłam mu swoje credo. Wkrótce potem niespodziewanie mnie odwiedził. Tłumaczył się. Opowiadał, że bardzo kocha swoje dzieci. Powiedziała mu, że miłość, dla której nie można się poświęcić, nawet psu na budę niepotrzebna. Trudno mi go zrozumieć. Zmienił się bardzo. To już nie ten sam Marian.

*

Niezaspokojone serce pani Kazimierzy bije teraz dla Marka. Tego trzyletniego chłopca wybrała świadomie i adoptowała po odejściu Mariana. Małżeństwo znalazło się w domu dziecka po tragicznej śmierci obojga rodziców. Był za mały, żeby zrozumieć i zapamiętać, co się stało. Nową mamę pokochał bez podejrzenia

dziewicze. Jak robi maturę? A przecież mógłby mieć same piątki. Jest bardzo nerwowy, wybuchowy, ale szybko się uspokaja i zaraz potem jakby nie pamiętał, że coś się stało. Często wcale nie rozumiem, o co mu chodzi. Wprawdzie nie pije, nie rzyga, ale przebywa w pozaskolnym towarzystwie. Ma też dziewczynę. Już trzeci rok z nią chodzi. Wydaje mi się, że ona jedna ma na niego pozytywny wpływ. Nie znam jej dobrze, bo tu nie przychodzi. Może to też na dobre wyjdzie, że nie jest taka nowoczesna w obyczajach. Niby nie ma żadnego nieszczerstwa, ale nie jest dobrze w naszym domu. Nie mam wyrzutów sumienia, że go zaniedbuje. On mówi, że nie sztuka dać jedzenie i ubranie. Myślę, że teraz nawet to jest szkoda. Zaczęłam prowadzić księgowość, bo pieniądze tak się rozchodzą, że mogłabym pomyśleć, że ktoś mnie okrada. Otrzymuję 5.097 zł emery-



przytul mnie królowo

— Są jeszcze na świecie ludzie życzliwi — mówi pani Janina — i dzięki takim jak kierownik Nowicki, czy pan Jerzy Mańczak, Jasiu może pracować. Okazują mu tyle serca i cierpliwości. Gdyby jeszcze niektórzy jego koledzy z pracy lepiej go traktowali. Mam im za złe, że namawiają go do picia wódki, że czasem buntują, żeby nie oddawał mi wszystkich pieniędzy. W jego przypadku jedyną szansą życiową jest jego uczciwość i pracowitość. Jaka kobieta zechciałaby przygłupiego pijaka? Chciałabym, żeby się ożenił, choćby ze starszą, z wdową, czy panią z dziećmi. Ale żeby go szanowała i potrafiła nim pokierować. Pieniążki by jej oddał, ja bym coś pomogła, choć o swoich dzieciach i wnukach też muszę pamiętać. Pozag już mu przygotowałam: pierzyny, poduszki, wyprawki, złoty pierścion, obrączkę...

— I pięć garniturów. — Jasio prezentuje wszystkie po kolei z wyrażoną dumą. Potem wyciąga gitarę. W jej wnętrzu napis: „Bóg moją miłością”.

— Bo ja dla niego tylko gram. I dla mamusi. — Zaczyna brzdąkać jakąś nieznana melodię. Dopasowuje niby-cygańskie słowa. Jest już cała piosenka. Wkrótce przeradza się w inną, której refren „To była polska Janina, która go pokochała, uczyła i wychowała, by został człowiekiem” nastraja go melancholijnie: — Ty mnie nigdy mamus nie opuścisz. Przysięknij mi, że nie umrzesz, że zawsze ze mną zostaniesz. I że pomożesz mi odnaleźć moją prawdziwą mamusię. Może ogłosimy w radiu, w telewizji, że ja, jej syn, szukam ją. Tylko chciałbym zobaczyć, jak wygląda. Na pewno jest bardzo ładna. Ale najlepsza jest moja polska mamusia — z nią zostanę. Cyganów nie lubię. Nawet nie ożeniłbym się z Cyganką. Nie znoszę ich. Po co się rozproszyli, nie trzymają się w kupie jak mądrzy

rozplakalam. Myślę, że Pan Bóg ma nad nim westchnienie. Bo chociaż ciężkie ma to życie, to przecież uczciwe. Nigdy nie chulił, milicja go nie zna. Potrafi zatruć życie, nadokuczać, ale nie ze złej woli. Całe życie tęskni za swoją matką, chociaż mnie szanuje. W dowodzie, nad rubryką nazwisko rodowe, wpisał sobie: cygańskie. Jak śpi, wciąż jeszcze ssie palec — jak bobas. I tuli się, chce żeby go pieścił, całował. A przecież to już dorosły mężczyzna. Nie jest też głupi, ale ma w sobie tę sierocą chorobę. Już się z niej nie wyleczy. Są po prostu ludzie, których tęsknota za prawdziwą miłością jest tak przeogromna, że zwykłe ludzkie uczucie nie zaspokoi jej nigdy.

Pani Kazimiera przygarnęła pierwsze dziecko jeszcze przed wojną, gdy tylko skończyła szkołę. Halinka była wtedy w czwartej klasie. Wojna je rozdzieliła. Halinę wywieziono na roboty do Niemiec; po wojnie wyemigrowała do Kanady, gdzie znalazła pracę, dom, męża. Raz napisała stamtąd do swej siostry-matki. Drugi list z Kanady zawiadamiał panią Kazimierę o śmierci Haliny. Jej milczenie było bolesne, ale troski pani Kazimierzy skupiały się już przede wszystkim na wychowywaniu przybranego syna Mariana. Gdy zmarł jego ojciec matka też go osierociła, porzucając dzieci dla zdobycia nowego mężczyzny. Marianek chodził wtedy do drugiej klasy. Nie był kłopotliwym dzieckiem, toteż matka nie miała specjalnych wyrzutów sumienia, oddając go „czasowo” pod opiekę samotnej, czterdziestoletniej nauczycielce.

Skończył szkołę rolniczą i wciąż nikt się o niego nie upominał. Jego matka w podzięcie za trud wychowawczy ofiarowała pani Kazimierze własnoręcznie zrobioną serwetkę. To właściwie jedyna pamiątka po Marianku. Gdy się usamodzielniał wyjechał na Wybrzeże Ożenił.



i zastrzeżeń. Tęsknił jedynie za tatusem. Marzył o spacerach we troje, żeby mamusia trzymała go za jedną, a tatuś za drugą rączkę. Gdy był w piątej klasie, poskarżył się jej, że jedna koleżanka nie chce się z nim bawić i mówi, że on jest z domu dziecka. Powiedziała mu wtedy prawdę. Zareagował gwałtownie: chwycił palto i rzucił się do drzwi. Zawołała: gdzie pójdziesz? Zrozumiał, że nie ma dokąd. Został. Był nadal grzecznym, dobrym chłopcem. Szkołę podstawową ukończył z bardzo dobrymi wynikami.

— Nie wiem, co mu się odmieniło w średniej szkole — martwi się pani Kazimiera. — Nie chce się uczyć; niby nie ma dwój, ale książki są



tury, a w kwietniu wydałam 7.760 zł. Mam jeszcze pół etatu i 70 zł rodzinnego. Teraz będę musiała dodatkowo, przez prawie siedem lat, spłacać po 500 zł kary za to, że kiedyś dorabiałam do emerytury trochę więcej niż 750 zł. Po sześciu latach dopatrzyli się tego przewinienia. Takie przestępstwa są zawsze karalne. A przecież zamiast pracować mogłam wyciągnąć rękę po zapomogę: legalnie, bezpiecznie, lekko. Najważniejsze jednak, że o przyszłość Marka jestem spokojna. Jest już pełnoletni. Niedługo zdobędzie dobry zawód, ma pełny wkład na mieszkanie spółdzielcze. Ożeni się, zacznie normalne życie.

— Ja zostanę znów sama, ale niedługo mi tej samotności. Mam 77 lat, czasem czuję się bardzo źle. Może Marek nie będzie się musiał stać wyprowadzać?

Dręczy mnie, że nie wiem, co on myśli, co czuje. Ja go nawet rozumiem, że jest mu przykro, że nie ma rodziców. Dlatego wybaczam mu niedelikatność, rozdrażnienie. Ale dlaczego on nie czuje, że mnie boli jego zachowanie. Ja zapominam, że to nie jest mój prawdziwy syn. On tego nie rozumie i rani mnie. Myślę, że nie jestem szczególnie rozlazła, skłonna do bezcenia z byle powodu, ale czasem chwytam mnie taki żal, że staram się, jak mogę. A to nieznoszę zmieniać, nikogo nie uszczęśliwia — jakby odbijało się o niewidzialną ścianę.

DANUTA WRONISZEWSKA
Fot. GABOR LÖRINCZY

dom • wychowanie





wystarczyło, że była przy mnie, trzymała moje ręce w swoich i uśmiechała się serdecznie. Bez napięcia i namietności. Jej oczy były jasne i błyszczące, jakby nie łączyło nas nic prócz przyjaźni. Nie dojrzałam w nich ani przymusu, ani zawodu, ani obojętności. Pomyślałam, że zaczęła się prawdziwa przyjaźń, oparta na poczuciu rzeczywistości.

Potem, ilekroć jeździliśmy razem na obozy czy szkolne wycieczki i spałyśmy razem, kładłyśmy się na dwóch brzegach wersalki, z daleka od siebie, aby uniknąć dotknięć dłonią czy ramieniem; leżałyśmy wsłuchując się w swoje oddechy i w ukryciu śledząc wzajemnie bezsenność. Pozostawałyśmy czujne i napięte. Nigdy nie nawiązałyśmy do niczego z naszej przeszłości; ani do rzeczy przyjemnych, ani do niemiłych. Życie układało się nam dość gładko; zaczęłyśmy znowu chodzić z chłopakami, a pielęgnować naszą przyjaźń na dystans.

Czas mijał i jeden dzień zdawał się niepodobny do drugiego. Pewnego dnia siedziałyśmy w jej domu, tak jak w każdy dzień naszej beztroskiej przyjaźni, pijąc gorącą herbatę, wymieniając rzadkie słowa, rozkoszując się ciszą wieczoru i gorącym aromatem płynu. W pewnym momencie zapytała, czy ją jeszcze kocham. Nie wiem, czy zapytała dla żartu, czy poważnie. Nie miałam czasu nad tym się zastanowić. Siedziałam zneruchomiona, sztywna, wsłuchana w dźwięk jej głosu. Wszystkie dawne uczucia i pragnienia ożyły we mnie z dawną siłą. Drżałam, zaskoczona i spłoszona, ale odwróciłam się do niej i powiedziałam spokojnie: — Lubię cię — choć nie byłam pewna swoich słów.

Czułam, że była wzburzona i napięta. Patrzyła znowu na mnie nie odrywając oczu.

— Pamiętasz — powiedziała — jak kiedyś chciałyśmy od razu, już w pierwszej chwili siebie wchłonąć? Trochę nas to bawiło, trochę wzruszało. Byłyśmy zachłanne, a przecież miałyśmy przed sobą dzień jutrzejszy i wiele innych. Czy teraz nie chciałabyś spróbować na trzeźwo, bez przygotowania i bez zmuszania, po prostu wtedy, kiedy masz ochotę?

Nagle uświadomiłam sobie, co się dzieje i pośpiesznie powiedziałam: — Urszulo, kiedyś zdawało się nam, że się kochamy, ale to tylko była choroba.

Urszula wzruszyła ramionami. Spytała: — Czy przemawia przez ciebie poczucie moralności?

Zaprzeczając gwałtownie powiedziałam, że to pojęcie od dawna nie ma dla mnie sensu.

— Nie ma rzeczy moralnych i niemoralnych. Mogą być tylko zgodne lub sprzeczne z naturą człowieka jako tworu biologicznego lub jednostki społecznej; mogą być zgodne lub sprzeczne z interesami społeczeństwa, w którym żyjemy. Wydaje mi się, że z powodu choroby zburzyłyśmy prawa natury, a ja już nie chcę robić tego po raz drugi.

Urszula jednak nie dała za wygraną. Podeszła bliżej i lekko przesunęła wargami po moim policzku. Powiedziała, że czeka na mnie, na moje uczucie, może słabsze, ale oparte na prawdzie. Nie może być ze mną w przyjaźni, mając czas przeszły przed oczami; nie potrafi tylko na mnie patrzeć.

— Szpital dał mi świadomość — szeptałam gorączkowo i bez przekonania — że jestem sobą, może i dał mi szansę na nowe życie przy innych ludziach, nie przy tobie. Pozwolił mi ochłonąć...

Niestety, czułam to samo, co ona, i wiedziałam, że prędzej czy później jej uczucie stanie się mi potrzebne. Nic nie mówiąc pocałowałam ją mocno i wybiegłam w deszcz. Znowu miałam w oczach jej obraz i pamięć tamtych dni. Czułam do siebie wstręt jakbym popełniła zdradę i grzech; czułam gniew i złość, choć nie wiedziałam, przeciwko komu ją kieruję. Uświadomiłam sobie, że mogę stosować się tylko do takich zasad społecznych i moralnych, które są pożyteczne i zgodne z rozumem. Wiedziałam, że jeśli zostanę w tym mieście, znowu ulegnę i uzależnię się od jej uczucia. Jeszcze tego samego dnia spakowałam swoje rzeczy, a nazajutrz rano wyjechałam do O. na poszukiwanie swojej ostatniej szansy.

Monika z Katowic
Fot. CAF

Czułam kogoś, kto siedł mi z pomocą, ofiarowywał zaufanie, i twierdził, że dobro chorego jest najwyższym dobrem. Często stałam przy oknie i patrzyłam na szpitalne podwórze; raz padał deszcz, raz świeciło słońce. Czasem czułam w sobie uścisk żalu i pustki, jak po czyjejś śmierci. Nie płakałam już. Zaczęłam zdrowieć i zapominać.

Zegnający się ze mną lekarz powiedział, że zawsze znajdę w nim przyjaciela, gdy poczuje się samotnie. Po opuszczeniu szpitala rozumiałam, że los nie jest obowiązany dawać nam tego, czego oczekujemy. Jednak żyło we mnie wspomnienie o Urszuli. Dowiedziałam się, że także się leczyła i wyzdrowiała. Nie starałam się jej odszukać, aby już nie grzebać się w tragedii tamtych dni.

W dniach, które następowały po wyjściu ze szpitala musiałam bar-

namietności



wbrew naturze czyli (2) w szponach bluźnierczej

Prawie wyjąc z opętania — chciałam umrzeć, by zapomnieć. Rwał włosy i tłukąc głową o podłogę prosiłam o pomoc. Ona wzięła moje ręce i przycisnęła do piersi; poczułam mocne uderzenie jej serca. Byłam oszalała ze strachu. Ona pochyliła się nade mną, po czym pocałowała dżiko i tak zachłannie, że z mojej świadomości znikło wszystko, poza ciemnością, w którą zapadłam. Po raz pierwszy w życiu zetknęłam się z kimś, lub czymś, co było silniejsze ode mnie. Wszystko to wydawało mi się niedorzecznym snem. Zawstydziałam się. Leżąc jeszcze starałam się uporządkować bezwładne wrażenia. Chciałam ją znienawidzić; znowu mnie upokorzyła! Ale silniejsze od wstydu było jednak wspomnienie zachwyty, upojenia oddaniem. Po raz pierwszy poczułam namietność tak pochłaniającą i prymitywną. Kiedy pomyślałam, że będę musia-

ła spojrzeć w jej oczy w świetle dnia, ogarnęło mnie przerażenie. Chciałam nagle plakać bez końca, bo wszystko to wydawało mi się jednym ze wstrętnych pijanych żartów. Gdybym była mężczyzną, zabiłabym ją i nie cierpiałabym tyle.

W wielkim zamroczeniu, z silnym bólem głowy, obudziłam się w jakiejś sali, gdzie pochylił się nade mną starszy przystojny pan w białym fartuchu. Gładząc mnie po głowie delikatnie, szeptał, że wszystko będzie dobrze. Później rozumiałam, że jestem w szpitalu w ciężkim stanie załamania psychicznego i z rozwaloną głową. Płakałam. Bałam się szpitala; bałam się świadomości choroby.

Przez okno szpitalne widziałam gałęzie drzew. Coraz mniej myślałam o minionym czasie. Na korytarzu był stały ruch. Nocą paliła się lampka na stoliku pielęgniarki. Salowe drzemały w kątach korytarza. Co dwie godziny przychodził lekarz. Siedział cicho, w pantoflach na gumowej podeszwie, a gdy odchodził, przzerwany sen nie chciał wrócić; zaczynało świtać. Rano znów przychodził lekarz, długo ze mną rozmawiał.

dzo się wysilać, by zachować pozory obojętności, gdy zaczęli odwiedzać mnie starzy przyjaciele, z wyjątkiem Urszuli. Chyba ona zrozumiała też, że lepiej będzie, jeśli się ponownie nie spotkamy. Ja — prawdę mówiąc — choć czułam się wyleczona, bałam się, że jej osoba przypomni mi chorobę na nowo i nigdy już nie pozwoli mi się z niej wyswobodzić.

Zdawałam sobie sprawę, że jednym posunięciem mogę przerwać więzi łączące mnie z dawnymi znajomymi: wyjazdem. Teraz jednak starałam się o to, by zapomnieć o starych czasach i nie żywić do mnie urazy. Rozmawiałam z nią szczerze o swojej chorobie, więc nie traktowali mnie tak, jak człowieka wyzutego z sumienia i poczucia godności.

W niedługim czasie doszło jednak do spotkania, którego się bałam — spotkałam przypadkiem w parku Urszulę, która podbiegła do mnie, wzięła za ręce i rozłożyła je szeroko, aby móc obejrzeć moją sukienkę. Od naszego ostatniego wieczoru minęło kilka miesięcy. Teraz jej dotknięcie wcale mnie nie podniecało. Żar nie płynął już z jej dłoni do moich. To mnie zdumiało i zaniepokoiło, ale odsunęłam jednak na bok te myśli;

Na widok jej reakcji serce moje skakało się boleśnie i ogarniały mnie wspomnienia oraz wątpliwości. Żal mi było uczucia, które rozpadało się przede mną. Ale brnęłam dalej nie patrząc jej w oczy: — Teraz, Urszulo, czas przejść do normalnego życia. Są przecież zabawy, rozrywki, fajni chłopcy... Czemu mamy to tracić? Zwłaszcza że ja już nie potrafię być z tobą tak blisko.

Ona zsunęła się z tapczana na podłogę i śmiała się histerycznie. Nagle przerwała i wzięła w rękę mój podbródek.

— Ach, Moniko, przecież nasze życie też ma swój blask. Każda coś dla siebie z niego wynosi. Nasze spotkania miały wdzięk, piękno i spokojny, zamknięty dla nas, czas.

Jej głos i dotknięcia dłoni otworzyły znów łagodne wrota mego serca, za którymi leżało piękno dawnych dni i zbudziły tęsknotę za nimi, choć wiedziałam, że wspomnień tych nie powinienam budzić, bo mogłam nimi przekreślić całe swoje przyszłe życie.

Nagle Urszula chwyciła mnie za dłoń i powiedziała: — Myślisz, że nie zastanawiałam się jak uciec od tego uczucia, zapomnieć? Ale potem zabrakło mi czasu, bo absorbowały go sprawy codziennego życia.

Przez moment wydawało mi się, że zaczęła mnie rozumieć.

— Czy pamiętasz — mówiła dalej, a pod zaklęciem jej głosu zniknęły dla mnie gołe ściany pokoju — jak razem dobrze się bawiliśmy, jeździliśmy na pikniki, śmiałyśmy się z kłopotów?

Przepadłam. W miarę padających słów jej dłoń zaciśnęła się na moich. Zdażyłam tylko pomyśleć, że ta nasza ucieczka w przeszłość dowodzi braku naszej przyszłości.

Potem milczałyśmy, a ja upewniałam się, że nasze zachowanie to wyraz czystego egoizmu. Własne dobro stało się dla nas celem najwyższym, a poczucie szczęścia usprawiedliwiało i uświęcało wszystko, cokolwiek czyniliśmy. Zaspokajaliśmy w sobie to, co było silne i słabe, a nie myślałyśmy o konsekwencjach.

Bezpieczna w swoim pokoju — rzuciłam się na wersalkę, nie bacząc na pogniecenie sukienki.

— Koniak! Zrobi ci dobrze, napij się — rzekła, a w głosie jej słychać było niezwykłą pewność siebie. — Usiądź! Będziemy dzisiaj pijane.

Usiadłam sztywno na tapczanie, wyczuwając gwałtowność Urszuli. Teraz zaczęłam się jej bać i żałować, że powiedziałam o minionym uczuciu do niej. Kiedy pochyliła się nade mną, spostrzegłam, że jej twarz jest ponura i zaczerwieniona, a oczy błyszczą przerażająco. W ich głębi kryło się coś, czego nie mogłam zrozumieć: gniew? Ból? Patrzyła na mnie długo, wreszcie spuściła zuchwały wzrok, usiadła naprzeciw mnie i nalala sobie kieliszek. Starła się opanować nerwowe drganie rąk. Przez jakiś czas nie zmieniała wyrazu twarzy, a potem roześmiała się, zasyczała głośno: — Popatrz na moje ręce. Mogłabym bez trudu cię nimi rozerwać, i zrobiłabym to, gdybym mogła wymazać cię z moich myśli.

Nigdy nie brakowało jej odwagi, ale teraz — pijana — przeszła samą siebie. Strach kazał mi jednak powściągnąć język. Scierając mokre od potu czoło powiedziałam: — Tak mi cię żal, Urszulo, bo jesteś wielkim dzieckiem, które płacze, ponieważ chce mieć księżyc. Żal mi ciebie, bo odpychasz obiemą rękami szczęście z mężczyzną, a gonisz za czymś, co szczęścia nie daje. Żal mi cię, bo nie chcesz o mnie zapomnieć, a nie wiesz, że szczęście jest tam, gdzie łączy się dwoje ludzi różnych płci. Jesteśmy parą lajdaków łamiących prawa natury i musimy się z tego związków wyrwać. Powinniśmy zrozumieć nasz błąd i zostać w przyjaźni, nie mając żalu za straconym czasem. Kocham cię wciąż, Urszulo, ale mam już pewien wiek i chcę nas uratować, abymy nie wzięły tego uczucia za główny cel naszego życia. Kochałam cię bardzo, potrzebowałam, ale teraz muszę odejść. Jestem chora, załamana psychicznie przez to uczucie, chcę poddać się badaniom, by wrócić do normalnego myślenia. Chodź ze mną, chwycimy się za ręce i wyłączmy się z tego koszmaru. Otrząsnijmy się, zobaczysz, wystarczy tylko chcieć.

Gospodarstwo Leśniaka leży na samym końcu wsi i jest na pokaz jako pierwsze specjalistyczne w województwie. Tuż obok starej drewnianej chałupy, która dokumentuje poziom, z jakiego startował Leśniak, stoi murowany piętrowy dom; wokół solidne zabudowania, pełno maszyn i clou gospodarstwa: wielka zmechanizowana obora, pełna krów stojących w dwóch rzędach.

Gospodarstwo Leśniaka przyjechały oglądać wycieczki z całej Polski, a czasem i z zagranicy, nie wspominając już o prominentach z powiatu i województwa. Każde odwiedzin były łączone z gospodarskim poczęstunkiem i Leśniakowa do dziś pamięta w pośpiechu przygotowywane śniadanie na 40 osób. No, ale warto było być w dobrych stosunkach z ludźmi. Leśniak uważany jest za człowieka sukcesu.

— Ja nie żyję pierwszy rok na tym świecie — mówi — można było brać pieniądze, to brałem. Nie zmarnowałem ich. Inni kupowali sobie samochody, ja maszyny i materiały budowlane.

Leśniakowa wtedy płakała. Bała się pożyczek, bała się gospodarstwa, gdzie są tylko krowy, w dodatku mechanicznie karmione i dojne.

— Lata siedemdziesiąte — podsumowuje sprawę Leśniaka naczelnik gminy — zapaliły zielone światła dla bogatych i przedsiębiorczych rolników. Chodziło o to, żeby skromne nakłady państwa na rolnictwo wykorzystywać jak najefektywniej. W gminie wyrosło ponad 50 gospodarstw specjalistycznych. To nikły procent, gdy chodzi o ilość gospodarstw, ale ich udział w produkcji jest bardzo wysoki.

I tak koło się zamknęło, bo — mówiąc prawdę — było to zielone światło dla tych samych kułaków, których w latach pięćdziesiątych nęskano domiarami, podatkami i obowiązkowymi dostawami.

Leśniak w tym czasie gospodarował z ojcem na 15 hektarach; mówi, że to był najcięższy okres.

— Harowaliśmy jak zwierzęta, żeby wszystko popłacić, a tu co parę tygodni nowe podatki dawali. Mielśmy sad. Obliczyli, ile się należy podatku, ale zaraz potem przy-

— Ziemię klasowali w teczce, bez oglądania. Dali mi lepszą niż miałem, więc pojechałem do powiatu, a w powiecie śmiech: „No i co, Woźniak, nie wytrzymasz?” „Wytrzymałem okupację, to i ciebie przetrzymam” — pomyślałem. Wychodziłem swoje. Musieli mi ziemię przeklasować i zaraz z 50 metrów zboża kontyngentu zrobiło się 30. Już odetchnąłem. A co szedłem do urzędu, to słyszałem: „Koniec z kułakami, Woźniak!” A ja, zawsze szybki w języku, pytałem: „A co, już ich wieszacie?”

Ciężki to był okres, głodny i biedny. Leśniakowe dzieci chodziły obdarte. Szymaniakowa wspomina, że nie było co do garnka włożyć: na śniadanie kasza, na obiad kaszka, na kolację kaszana. Wszystko szło na obowiązkowe dostawy i podatki, dla siebie nie zostawało już nic. Czasem zdarzyło się i tak, że nie było czym pola obsiać, bo wpadały młodzieżowe brygady i sprawdzały, czy kułak rze zostawił czegoś dla siebie. Jak znaleźli, zabierali, nie interesując się, czy kułak będzie miał co jeść albo czym pole obsiać. Zetempowcy mieli dobrze wbijać do głowy trójjedyną formułę: opierać się biedocie, zawierać porozumienia ze średniakiem, ani na chwilę nie przerywać walki z kułakiem.

Leśniak pamięta ogromny plakat, wywieszony gdzieś we wsi: siedział chłop okrakiem na beczce pełnej pieniędzy, a na górze był napis: „Kułaku, oddaj zboże”.

Naczelnik, który w tym czasie był nauczycielem we wsi i członkiem ZMP, pamięta, jak zetempowcy rozlepiali po wsi „iskry”. Tak się te plakaty nazywały, bo w kułaka zawsze była skierowana strzała pioruna.

Dawni kułacy, dziś najlepsi gospodarze we wsi, śmieją się: — Tak, tak, byłem kułakiem, ale wtedy było nie do śmiechu.

— Okres kułacki — mówi naczelnik — rozłożył najlepsze gospodarstwa rolne. Najlepsze warsztaty poszły w ruinę, a w chłopach wzbudziło nienawiść i nieufność do władzy.

Szymaniakowa dużo wtedy płakała. — Jakże my byli kułaki? Do dworu, jak inni, chodziłam, pielili się, siano grabiło... — Ale Szymaniakowie mieli parę morgów piasku,

— Pomarnowali ziemię i poszli do miasta — mówią dziś we wsi. — Nie umieli prowadzić gospodarstwa. Pał-robek nie będzie przecież gospodarzem.

Ziemię rozdzielala komisja. Rejniakowie, którzy mieli trochę piaszczystej ziemi, na której dziś już spory las rośnie, bo się do niczego innego nie nadawała, chcieli żeby — komisja i im trochę przydzieliła.

— Ale gdzie tam — macha ręką Rejniakowa kołysząc w wózku wnuka — nie było u nas tej wymowy ani pieniędzy. Inni kręcili, to gęś dali, to się przypodchlebili... Już mieliśmy dwa hektary przyobiecano, ale kto inny nas podkułił.

Nie dano im ziemi, choć oboje byli biedni, a przed wojną chodzili do dworu. Rejniak był ogrodnikiem, a Rejniakowa najmowała się do różnych robót. Zarabiali grosze, bo kto się przy dworze czegoś mógł dorobić? Tyle że na przednówku dziedzie trochę zboża pożyczyl.

Maciakowie też ziemi nie dostali, bo nie byli „dworscy”, więc przystąpienie do spółdzielni produkcyjnej było dla nich prawdziwą okazją. Dostali działkę przyzgodową, raz-dwa pobudowali.

A sama spółdzielnia?

— Bierz ją ezort! — śmieje się Maciak — nierentowna. Jak mogła być rentowna, kiedy żony tych, co dali ziemię, nie wychodziły w pole. Jak nas raz z żoną policzyli, to wyszło, że musimy sześć tysięcy spółdzielni zapłacić. Czyli pracowaliśmy deficytowo i nie zarobiliśmy ani na siebie, ani na paszę dla jedynej krowy.

Spółdzielnia była mała. Tak się złożyło, że przystąpili do niej tylko dworscy. Ale nie wszyscy. Taka Węgicka postawiła agitatorom zdecydowany opór. „Nie i nie — mówiła — całe życie pracowałam na cudzym, raz chcę mieć coś swojego. Jak już daliście, to teraz nie oddam”. Agitatorzy mieli ciężkie zadanie. Przekonywali i przekonywali, że razem gospodarować jest łatwiej i opłacalniej, ale mało kto dawał temu wiarę. Najprędzej jeszcze dworscy, bo byli nieuczeni i nie przywiązani do ziemi. Najtrudniej szło jednak z kułakami. Woźniak miał szczególnie upartego agitatora, który ciągle za nim chodził i namawiał, żeby ziemię oddał do spółdzielni.

nic p
na tym
EW:K



szedł drugi człowiek, tamten podatek anulował i dołożył jeszcze więcej. Zboże, ziemniaki, żywiec, wszystko trzeba było oddać. Ojciec jeździł na zachód kupować zboże, żeby się wypłacić.

Woźniakowie mieli też parę hektarów ziemi i miano kułaków. Woźniak całe noce na polu spędzał, spał na plugu.

— Kontyngenty trzeba było płacić, więc oszczędzało się, nie zleniło, bo jak jeden rok się popuściło to koniec, do więzienia brali.

Leśniak przetrwał ten okres dzięki pomocy żony, która pracowita była, jak mało która kobieta. Woźniak — dzięki pracy i swojej naturze, która najmniejszej krzywdzie czy oszukaństwu nie popuści.

zabudowania, nie objęła ich reforma rolna, więc: kułaki.

Po wojnie P., jak każda inna wieś, przeżył dobrodziejstwo parcelacji. Z reformą nie było większych problemów. Nieduży majątek, nie najlepiej prowadzony, ostatnio tak często zmieniał gospodarzy, że dziś już nikt nie pamięta, jak się ostatni właściciel nazywał. Dworscy dostawali po pięć hektarów, a małorolnym dokładano do pięciu. Wszyscy ziemię brali, ale dziś mało kto na niej został...

— Był taki jeden Letkorobicki — mówi Woźniak — co uważał, że jak dają darmo, to trzeba brać, a potem szybko sprzedawać, bo państwo i tak zabierze, kupić sobie za to butów, dobrego jedzenia. On wyprzedawał gospodarke, ja ryzykowałem i kupowałem.

— Póki mi cierpliwości starczyło, słuchałem i nic nie mówiłem, ale jak szaruga nadeszła, to tylko spojrziałem, czy nikogo nie widać, i tak mu włamałem, że potem omijał mnie z daleka.

Tego agitatora spotkał Woźniak niedawno. Zgodził się zawieźć pszczoły jakimś inżynierowi w sąsiedniej wsi. Poznał go od razu, ale dopiero wtedy, gdy skończyła się postawiona za przysługę wódka, zapytał: — Gniewa się pan?

— Nie, miał pan rację.

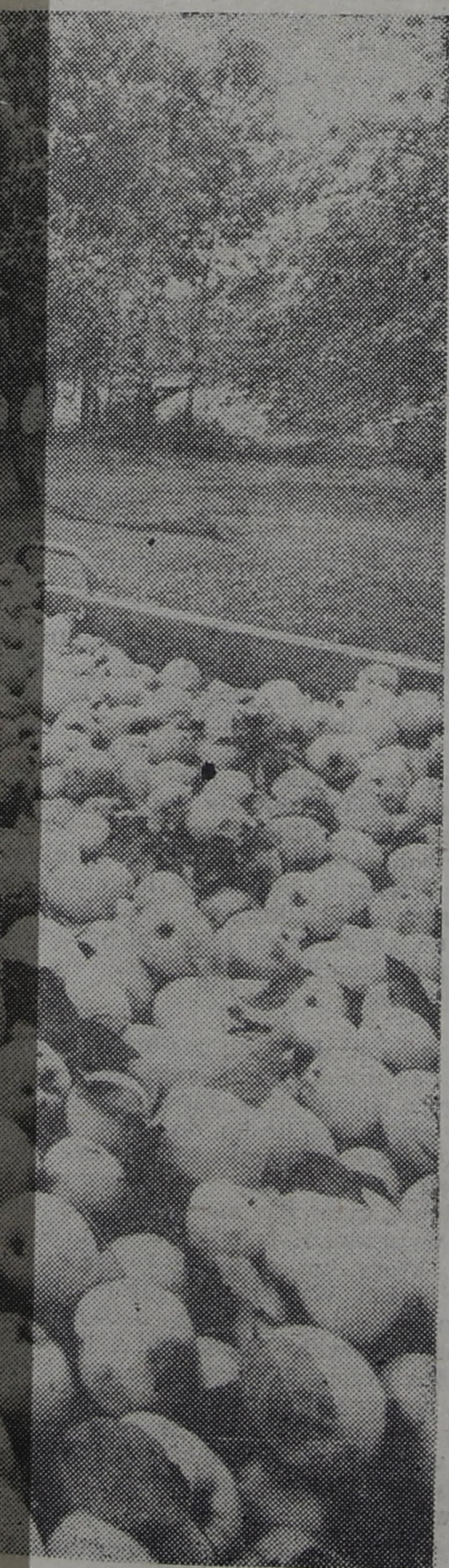
— Więc po co było tamto gadanie?

— Płacili mi, to gadałem; taka była wtedy polityka, żeby spółdzielnie zakładać.



penetracje





Ignaszakowa, która od 14 roku życia w majątku pracowała, nie chciała iść do spółdzielni, ale mąż powiedział, że sami nie dadzą rady te pięć hektarów z reformy obrobić. „Trzeba spróbować — powiedział — razem powinno być łatwiej”. Spróbowali, ale łatwiej nie było. Jeden się oglądał na drugiego, dniówki sobie dopisywali. Jedną korzyść z tej spółdzielni, że ludzie wyszli z dworskich czworaków, pobudowali się.

Spółdzielnia w końcu powstała i cała wieś patrzyła, co dalej z tego będzie. Orać — orali, i to traktorem; siał — siali, ale ze zbieraniem już były kłopoty. Przyjeżdżali więc z miasta różni biuraliści, zatykali w polu czerwony transparent z napisem: „Sojusz wsi z miastem” — i robili za spółdzielców.

Naczelnik zapamiętał z tamtych czasów taki obrazek: sprowadzeni z miasta robotnicy budowali spółdzielni oborę, a spółdzielcy leżeli pod drzewem i obserwowali postęp robót.

Spółdzielnia okazała się nierentowna i nie było na to rady. Męczyli się w niej do 1956. Kiedy Gomulka doszedł do władzy, nie było już takiego nacisku na kolektywizację, a nawet można było nierentowną spółdzielnię rozwiązać, więc skwapliwie skorzystali z tej okazji.

— Na swoim robić — porównuje Ignaszakowa — to całkiem co innego: człowiek pracuje w świętek i piątek, a w spółdzielni patrzy na drugiego.

Po 1956 chłopci złapali głęboki oddech. Naczelnik porównuje to z uczuciem, jakie ma człowiek, któremu nagle rozwiąże się spętane na plecach ręce. Zaraz też wszyscy podpisali petycję, żeby oddać młyn właścicielowi. Pozabierano je w okresie kulackim, upaństwowiono i zniszczono. W sąsiedniej wsi taki zniszczony młyn oddano właścicielowi; wyremontował go jako-tako i do dziś robi w nim śrutę dla świń, bo maki — nie daje już rady.

W ocenie naczelnika — chłop najbardziej boi się kolektywizacji i przymusu dostawy; one go wykańczały najbardziej. Gomulka zyskał sobie aplauz na wsi za zaniechanie kolektywizacji; Gierek miał zaufanie za zniesienie obowiązku dostaw i objęcie wsi ubezpieczeniem. Dwa razy błysnęło zielone światło dla rolników.

— Tylko błysnęło — podkreśla naczelnik — bo tak naprawdę nie zapaliło się nigdy.

Ale — ogólnie rzecz biorąc — postęp w P. jest. Pierwszy traktor we wsi, który należał naturalnie do spółdzielni, wywołał dużą sensację. Dziś we wsi jest ich około stu, a pięćdziesięciu gospodarzy czeka na przydział w kolejce.

Ten postęp zrobił się trochę za szybko, co widać dopiero dzisiaj. Naczelnik pamięta, jak to było z nawozami. Chłopi nie chcieli nawozić — naliczało się kary: po pięć złotych za kilogram nie wysianego nawozu, co dawało czasem trzy—cztery tysiące złotych. Zaczynała się administracyjna kołomyjka: gmina naliczała karę, chłopi pisali o umorzeniu. Służba rolna wprost ze skóry wychodziła, żeby wcisnąć chłopom trochę nawozu; zawoziła go do zagrod, niemal rozsiewała na polach. Wreszcie wprowadzono ustawę o konieczności stosowania nawozów.

— No, a teraz — mówi naczelnik — chłop za nawozem biega i ma pretensje, że go dostać nie może. Jak przychodzą do mnie na skargę, to się śmieję: zgrzeszyliście, to teraz macie. Ale faktem jest to, że oziminy zostały zasiane bez pełnego nawożenia.

Chłop ciągle na huśtawce: raz kaza mu iść z postępem, drugi raz — się wstrzymać. Postęp na wsi zlikwidował słomiane strzechy; budynki musiały być kryte dachówką albo eternitem, inaczej — kara. Dziś gmina potrzebuje dwudziestu tysięcy metrów eternitu a dostaje dwa tysiące. Chłopi przychodzą i pytają, czym kryć nowo wybudowaną oborę, więc naczelnik radzi — słomą. Chłop mówi. Wstyd, panie naczelniku, wstyd, ale musi przecież czymś dach pokryć.

— Nie ma nic pewnego na tym świecie — wzdycha Woźniak. — Już było tak dobrze: obowiązkowe dostawy zniesiono i ubezpieczenie dawno, maszyny można było kupić, na-

wozów ile chciałeś, materiały budowlane mogłeś zdobyć, kredyty... i nagle kłops. Bieda.

— Ale to jest inny rodzaj biedy — zaznacza naczelnik. — Przedtem chłopci byli biedni, bo nie mieli pieniędzy; dziś są biedni, bo mają pieniądze, ale nie za nie kupić nie mogą.

To prawda: garnka nie kupisz, wiadra nie kupisz, brony nie kupisz, butów nie kupisz.

— Pani patrzy, jakie mamy gumowce — mówi Woźniak.

Patrzę i widzę, że Woźniak ma jeden inny, drugi inny, Woźniakowa — pękniętą cholewę.

— Wie pani, skąd mam te buty? Z łaki. SKR powyrzucał śmieci, po-grzebałem i znalazłem. Jak nie ma żadnych, dobre choć takie. Jakie teraz rolnictwo, skoro chłop buty ze śmietnika musi zbierać! Desek, żeby zbić świnom koryto, też nie kupię, a już najtrudniej o części do maszyn. Za każdą szczegółą jeżdżij tam i z powrotem.

Woźniak opowiada o trudach zdobywania zwykłego łańcucha, jakiejś sprężynki, blaszki, śrubki.

U Szymaniaków siedzimy w ciepłym kuchennym piecu, opędzając się od zbudzonych ze snu much. Jest ciepło, bo Szymaniakowa cudem wykupiła część węgla. Zabrała to dwie noce: jedną noc stał mąż, drugą ona. Na społeczne listy nie ma tu mody; ktoś podrze i po węglu. Najlepiej samemu dopilnować kolejki. A jak przywożą węgiel, następuje sądny dzień. Jeden najędza drugiego, łamią wozy, a każdy ma kwit na 350 kilogramów za odstawionego świniaka.

Gwardysowie mają cztery świnię, ale Gwardysowa mówi otwarcie, że żadnej do punktu nie odda.

— A co ja z tego będę miała? — pyta. — Trochę pieniędzy, za które niczego nie kupię, i kwit na węgiel, którego też nie dostanę. Ośmioro dzieci żyje w mieście, nie mogą pozwolić im głodować. Samemu też jeść trzeba. A pojedzie człowiek do miasta, to usłyszy w kolejce: o, chamy ze wsi wszystko wykupują. Teraz chamy nie da, niech pan paluszki liże. A my na wsi nie zginiemy.

Naczelnik mówi, że najbardziej boi się głodnych ludzi. Głód może wygonić ludzi z miasta na wieś. Już teraz przyjeżdżają tu samochody, a ich pasażerowie krążą od chałupy do chałupy. Zimą ubiegłego roku, kiedy był niedostatek ziemniaków, nocą zniknęły ich całe kopce, ginęła z pół cebula. Jeszcze jak ktoś był w miarę uczciwy, zostawiał chłopu pieniądze, ale takie gesty zdarzały się rzadko. Naczelnik obawia się, że może dojść i do drastyczniejszych scen.

Dzieci z miasta jakieś dobre się porobiły: przyjeżdżają w wolne soboty, rodzicom w polu pomagają, a w niedzielę odjeżdżają z jajkami, owocami, warzywami, a czasem i mięsem.

— Miasto jest głodne — mówi naczelnik — i wyciąga rękę: daj, chłopie, jeść.

Chłop nie bardzo wie, jak ma się w tej sytuacji zachować, na kogo liczyć. W tej całej niepełności woli liczyć tylko na siebie. Więc Leśniak nie oddaje zboża, ponieważ musi myśleć o paszy dla krów. Gwardysowa nie odwozi świń, bo jej się mięso przyda.

A miasto, zdaniem Gwardysowej, zamiast rolnikowi pomóc — kombinuje jakby go znowu pognać.

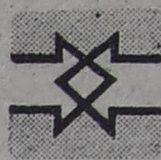
Najważniejsze — mówi Woźniakowa — żeby rolnika nie obećać. Człowiek całe życie ciężko pracował, a każdy grosz szedł na maszyny, żeby nie harować jak zwierzę. Kuchnia gazowa, pralka, lodówka były odkładane na później... — Woźniakowa przerywa i wypada z chałupy, żeby przepłoszyć stado wron, uparcie przysiadające na polu świeżo obsianej pszenicy. Po chwili wraca zdyszana: — Tak całe życie, pani, bez chwili odpoczynku. I co ja za to mam? O, takie ręce.

I pokazuje mi zniszczone dłonie, z powykrecanymi reumatyzmem palcami.

Fot. GABOR LÖRINCZY

Reportaż nadesłany na konkurs „Boryna 81”, zorganizowany przez „Kontakty” i Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, a rozstrzygnięty w listopadzie 1981 r.

spiećcia



9
KONTAKTY
23 V 1982

Jeszcze nie całkiem, ale już prawie zniknęło w żołądkach gryzoni 10 ton żyta zebranego przez rolników Rakowa i Krzewa dla powoźników, które naczelnik gminy Piątnica zobowiązał się zabrać i dostarczyć państwowym transportem do Płocka. Od tego czasu nie przejeżdżał nawet przez te wsie. Dobre serce myszy zjadły.

We wtorek, 4 maja, pracownicy Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej zauważyli ślady włamania do jednego ze swych magazynów. Zaalarmowana natychmiast milicja przybyła na miejsce przestępstwa dopiero po kilku godzinach. Zbulwersowani tym faktem mieszkańcy Łomży proszą, by w przyszłości służba porządkowa była lotniejsza. Chcą się czuć bezpieczni.

Oficjalne czynniki od koncepcji doszły do wniosku, że w Łomży nie można otworzyć pijalni piwa, bo tam, gdzie jest odpowiednie pomieszczenie, nie ma w pobliżu szaletu i odwrotnie. Bezpłatny koncept „Spieć”: mieszkańców miasta poddać specjalistycznym badaniom — potwierdzonym zaświadczeniem — wykazującym moczozasową odporność osobopęcherza w przeliczeniu na butelkotwarz, gwarantującą do-transportowanie finalnego produktu organizmu do domu bez popuszczenia; piwo sprzedawać po okazaniu wyż. wym. dokumentu za poręczeniem czynnika społecznego.

Były sekretarz KZ w Przedsiębiorstwie Przemysłu Spożywczego w Łomży odszedł z zakładu na własną prośbę, po czym uruchomił prywatną inicjatywę w postaci taxi. Po kilku miesiącach doszedł jednak do wniosku, że skoro są redukcje, lepiej mieć statut zredukowanego, to znaczy — załapać sześciomiesięczną odprawę. Dyrektor w pragnieniu dawnego pracownika nie dostrzegł niczego zdrożnego i wkrótce podpisał odpowiednie papierki, na których stoi: „wyplacić”. Pracownicy PPS uważają decyzję za słuszną, pragną jedynie, by pryncypał spre-cyzował: „z mojej kieszeni”.

Bagno o nazwie Lokieć w gminie Zbójna spędza sen z oczu naczelnika i nie tylko. W gminnych mająkach marzy im się: 1600-hektarowe uroczysko — siedlisko najprzeróżniejszego ptactwa i zwierzęcy — zmelirować; „zbudujemy Drugie Zbójno!” I jeszcze jeden pomnik aktywności tępoty w niszczeniu naturalnego środowiska?

„Telewizja zachodnia uczy gwałtu i okrucieństwa! Co drugi wyświetlany w amerykańskich kinach film ocieka krwią, a oglądają to najmłodsi!” W kinie „Millenium” w Łomży ścielącego się gęsto trupa oglądać mogą, na rodzimym filmie „Zamach”, absolwenci przedszkola.

Klub „Bonar” uraczył niedawno maluczkich bajeczką, którą poczuł się tak zdegrustowany, że opuścił salę projekcyjną i zaczął bawić się na korytarzu popularną „cytryną”. Bi-leter, który z przejęciem chłonał film, zagroził im, że jeśli będą hałasować, zapędzi ich przed ekran. „To wyjdziemy na ulicę!” — usłyszał harda odpowiedź malca. O, temporal!

Jeżeli ktoś z Czytelników dostrzeże związek między faktami ujawnionymi w dwóch ostatnich „Spiećciach”, proszony jest o zwizję ujęcie swej refleksji w zdania i nadanie ich na adres redakcji. Za najślusniejsze skojarzenie — specjalna nagroda.



Szanowny Panie Stanisławie. Coraz trudniej wykreślić się od rzeczywistości, od jej olowianych bucików, w które daliśmy się obu. Miał być lakiernik, wygodne mokasy, czyli ogólny luksus, a tu mizeria coraz większa. Biedniejemy i będziemy jeszcze czas jakiś biednieć. To poniekąd nasz obowiązek; konieczność, której nie możemy uniknąć. Można co najwyżej biedę swoją nosić z godnością. „Ubogo, ale chędogo” — mówiło się dawniej o kimś, kto popadłszy w materialne tarapaty — czyścił, cerował, prasował swoją mizerię, by nie deklasować się ostatecznie. Cóż, nieszczęście zdarzyć się może i w najlepszym domu (a bieda była i jest przecież nieszczęściem), nie musi jednak tego domu doszczętnie ruinować. Panie Stablewskie (z zawodu hrabiny), w moim rodzinnym Zalesiu, jeszcze przed wojną budziły cichy śmiech, kiedy zabierały się do pracy na klombach, chroniąc dłonie w nicianych rękawiczkach (innym ich „hobby” było, jeszcze przed 1914 r., niezbyt legalne uczenie języka polskiego dzieci ze wsi, wszystkich — dworskich i chłopskich — bez wyjątku), ale już nikt po 1945 r. nie śmiał się z tego, że nadal „nie chciały brudzić rąk” i grzebiąc w ziemi na grządkach przy domu opieki społecznej, w którym kresu swych dni dożywały, robiły to w nicianych, a nawet koronkowych rękawiczkach. Z tymi koronkami to już oczywiste wariactwo, ale reszta... i sama zasada zachowania tożsamości warta zapamiętania. Tym bardziej że miały owe staruszki poczucie ostatecznego przepadania rodu, bo żaden z mężczyzn już wtedy nie żył.

Jeśli przykład ten wydać się Panu może zbyt drastyczny, lub pozornie tylko podobny do naszej obecnej sytuacji przywołałam inny, zagraniczny.

Kiedyś, dawno, dawno temu, kupować w Londynie u Woolwortha znaczyło: należeć do ludzi ceniących sobie elegancję, solidność i umiar. Potem nastały nowe czasy, epoka lat sześćdziesiątych: szalejące, młodzieżowe Chelsea, a na Oxford Street zupełnie nowy rodzaj sklepów-magazynów Marks and Spencera. Zaczynały się lata siedemdziesiąte. Taśmowa obsługa klienta. Codziennie mogła być zmieniana oferta towarów, obniżki cen trwały po kilka go-

dzin, bez jakichś specjalnych sezonowych okazji. Po prostu należało do sposobów reklamowej manipulacji. Trzeba więc było wpaść do M. and S. jak najczęściej, do Woolwortha jeździło się po kilku miesiącach od chwili wypatrzenia przez znajomego chusteczek do nosa, mających jedyny i niepowtarzalny odcień jaśminowej herbaty, i po tym czasie było się pewnym, że w jednym ze stoisk z dodatkami do męskiej garderoby można będzie je kupić. Cóż, nadeszły jednak lata, w których taki handel musiał upaść. I upadł. To było widać już przed wejściem, wyłożonym jakimś ciemnym drewnem. Nikt się tu nie tłoczył. Jedyną formą reklamy była niewielka, umieszczona obok wejścia, tabliczka z mosiężnymi literami, ukadającymi się w dwa słowa: „CENY STALE”. — I bardzo wysokie — powiedziała znajoma, która prosiła mnie, abym jej towarzyszył przy zakupie krawatu na prezent dla przyjacielnego starszego pana. — Poniżej Woolwortha nie mogę kupić, nie wypada, a na coś więcej mnie nie stać — oświadczyła i weszliśmy do ciemnego wnętrza. — Tylko te ceny — westchnęła — jak za najlepszych lat. A myślałam, że teraz, w tej sytuacji, będą się ratować choćby niewielką przeceną.

Lady i pólki za nimi, rozstawione wokół ścian, jak kioski, a może konfesjonały, rozsiadane z rzadka w regularnym szyku na rozległym i miękkim (miejskami wydapanym) ciemnozielonym chodniku, tworzyły wnętrza pośrednie między bankiem a kościołem. Krawaty były w dwóch stoiskach, niestety — w żadnym z nich nie było sprzedawcy. Przez kilka minut zdezorientowani (szczególnie moja znajoma, znająca tu tejsze obyczaje) brakiem zainteresowania nami, chodziliśmy od jednych krawatów do drugich. Wreszcie, krokiem nie zdradzającym pośpie-

chu, nadszedł dystyngowany mężczyzna w siłę wieku i przepaszając, acz bez uniożoności, ze spokojem zapytał: — Czym mogę służyć? Wyłożył kilkadziesiąt krawatów i przepaszając, że musi nas na chwilę zostawić samych, wyjaśnił, iż obsługuje klientów przy trzech stoiskach. — Stachanowiec! — pomyślałem. — Albo Wanda Gościńska, która u nas przed laty obsługiwała na raz kilka krosien tkackich.

Krawat wybrał się prześlizgnąć. Kosztował półtorej dniówki urzędniczej średniej klasy. Za tę cenę u M. and S. można było kupić sweterki bliźniaki z wełny bouclé i pół tuzina rajstop. — Drogi jak diabli, ale trudno — mruknęła w oczyszczonym języku właścicielka dwóch domów na południowym Kensingtonie, wzięła rachunek i poszła zapłacić. Po chwili wróciła i pokazując sprzedawcy kwitek, wskazywała pomyłkę — wpisał cenę o wiele niższą niż wydrukowana na ozdobnej wizytówce sklepu, przyczepionej do krawatu. Dżentelmen przeprosił i zwrócił uwagę, że ich firma obniża cenę dla stałych klientów. Znajoma nieznacznie skinęła głową i bez słowa zapłaciła. — Przecież oni likwidują to wszystko — powiedziała, zatrzymując się na ulicy. — Widział pan, zostali sami starzy sprzedawcy, po jednym na kilka stoisk, ale wszystko musi trwać tak, jakby nic się nie stało. Tyle lat tu mieszkam, a ciągle mnie zaskakują. Ach, ci Anglicy.

— Rzeczywiście — odpowiedziałem — to może dziwić, choć wydaje się, że nie można posadzać ich o udawanie. Robią to całkiem serio, bo naprawdę spotkało ich niepowodzenie, zapewne z tysiąca i jednego powodu, ale nie ma wśród nich takiego, który pozwalałby na ujawnianie, obnoszenie czy epatowanie swoim nieszczęściem. Cóż bowiem mogliby myśleć o sobie, kiedy uda im się wyjść z biedy, co powiedzieliby o

nich następcy. — No, dobrze, ale byłam tu ostatnio co najmniej dwadzieścia lat temu. — Liczą więc na to, że zjawi się pani znowu, tym razem może już za półtora roku? A może w ogóle liczą już na pani wnuki. Niewykluczone — powiedziała, śmiejąc się i wskazując na siwową szag portiera, który wnosił do stoika mosiężne „CENY STALE”, a właśnie deszcz zaczął padać, zacinając na wypolerowaną tablicę.

Wars, nasz monopolista od kolejnych luksusów-slipingów, kuszet, restauratów i barów na kółkach czuje się chyba nie najlepiej. Co owijając w gazetę — plajtuję. To widać nawet z zewnątrz. Szyby brudne, że zająrzeć do środka nie sposób. Napisy na wagonach, szczególnie z kuszetkami, zatarte i zalapane liszajami — nie do odczytania w półmroku peronów. Wewnątrz nieskrywane niechlujstwo: cuchnące kocy, których oblamowania z poszewki, do czarna wyszmelcowane, przypominają scenograficzne efekty Józefa Szajny z lat pięćdziesiątych w nowohuckim teatrze. Dotkniesz cokolwiek grozi zabrudzeniem poplamieniem, wżarciem się tłustej kurzu w skórę albo ubranie. Zresztą nie trzeba niczego dotykać, wystarczy przejść wzdłuż wagonu, już człowiek czuje się brudny. Czyżby na tylko jedna toaleta (bez wody i papieru) dla wszystkich podróżnych? Druga zamknięta dla wszystkich, wyjątkiem stewarda czyli warszawskiego konduktora wagonu. Steward brud i nie więcej. Ani herbaty, ani wrzółku. Jakiś napój pod nazwą „Napój”. Nic inego się nie kalkuluje. W końcu korytarza, zwalona na kopy, brudna pościel, co najmniej miesięczny przydział. To nie przypadek, ani jeden wyjątkowo flujowały starzy; to także nie wina jednej stacji końcowej, opiekującej się wagonem. Podróżowałem ostatnio kilkakrotnie na różnych trasach, wszystkimi (oprócz restauracyjnego) rodzajami wagonów. Wszędzie to samo — stentacyjne, programowe pogardzenie pracą, jej narzedziami i jej podmiotem — pasażerami. „Piekło i inni” — powiada ktoś w J. P. Sartre’a „Przy drzwiach zamkniętych”. Być może, ale bliższe prawdy wydaje się stwierdzenie, że czyszczenie to Warszawa. Myślę, że powtarza co noc kilkuset ludzi próbujących kureczowo uchwycić się snu w ekspresach, do kresu wytrzymałości.

HENRYK GAL



Rysunek Andrzeja Podulki

czem. Uprzywilejowane pra-matki — dysponowały nawet półautoma-tycznymi pralkami, wykonanymi z klepek bądź z wydrążonych pni drzewnych. Za ich dno służyły pręty, na których ukladaly warstwy słomy, a na niej — białinę. Na wierzchu zaś leżała płachta lub worek z popiołem, w który nalewano się wrzółku. Wytwarzający się ług wsiąkał stopniowo w białinę, oczyszczał ją i wyciekał niewielkim otworem. Potem wystarczyło białinę wypłukać — ewentualnie przeprać lekko w rękach lub przy pomocy kijanki — wyjąć, wysuszyć i wymaglować.

Pradziadowie znali też — nie mniej skuteczne od naszych — me-

jącymi saponiną, a przede wszystkim mydlnicę lekarską. Licencję wzięli najpewniej od Włochów, którzy do dziś na mydło mówią „sapone”. Zazywali też kąpiele: latem w rzece lub jeziorze, a zimą — gorącą w łaźni parowej. Nazwa pochodzi od „włazienia”, bo prawdopodobnie mieściły się one pierwotnie w ziemiankach. Gdy w X wieku kapia-eych się Słowian podpatrzył arabski historyk Mas’udi, łaźnie były już drewnianymi budynkami z solidnymi piecami z kamieni. Grupa pradiadów rozpalala w nim ogień, po czym zamykala szczelnie drzwi i dymnik, a na rozżarzone kamienie lała wodę. W kłębach gorącej pary okładali się co sił miotełkami z brzo-zowych gałązek. Wycierali się ręcz-

nasze praczyścioszki

tody zwalczania niepożądanych lokatorów domostw. Na myszy i szeszury zastawiali paści lub napuszczali na nie oswojone łasice, psy i koty. Komary odstraszali dymem, a muchy truli muchomorami. Pchły tłukli beżosrednio na cieple łóżeczek, zaś wszy wyczesywali. Często też posługiwali się przebogatym zestawem ziół trujących.

Swe ciała obmywali nie samą wodą, lecz i mydłem. Otrzymywali je w wyniku gotowania ługu z tłuszcem. Zastanawiające, że tego drugiego im starczało, chociaż mięso jadali zaledwie dwa razy w roku. W okresach kryzysowych ratowali się roślinami goździkowatymi, zawiera-

nikami lub obrusami, które dopiero od XIV w. przykrywały stoły.

Wprawdzie przy zazywaniu kąpiele moczyły się i włosy, ale podstawowym zabiegiem pielęgnacyjnym było ich czesanie. Grzebień zawdzięczał swą nazwę grzebaniu we włosach, w czym były znacznie skuteczniejsze od palców. Miał jeden, a czasem dwa rzędy zębów, często były zdobione; przodkowie przechowywali je w specjalnych rogowych pochewkach. Włosy natłuszczali masłem — zęby nie łamały się często, a czesanie szło gładko, „jak po maśle”. Któryś ze złaknionych żalotników, ealując loki ukochanej, odkrył przypadkiem, że ten kosmetyk jest sma-

kowity i w ten sposób masło trafiło do kuchni. Podobny los spotkał prawie wszystkie tłuszcze, którym nacierane były włosy. Szczecin wprowadził modę czesania szczotkami z szczeciny. Moda przetrwała, Szczecin też, ale szczotek ze szczeciny już nie ma. Może dlatego włosy stały się krótsze i rzadsze?

Niegdyś moda tolerowała jedynie fryzury z długich włosów. Mężczyźni byli one ponadto oznaką ludzi wolnych. Pradziadowie nosili również okazywane wasy, lecz nie zapuszczali bród. Prasłowianie gołi się brzytwami, ale nasi przodkowie prawdopodobnie nożami, półkosami o cienkim ostrzu lub po prostu — specjalnymi nożycami, jakich dziś jeszcze używa się gdzieś gdzieś do strzyżenia owiec.

Mimo tych przejściowych trudności praszczurowie starali się być eleganccy. Trudno powiedzieć, czy prócz bielideł, pachnideł i różowian nie — praelegantki używały innych kosmetyków, ale na pewno dość często zerkaly w metalowe „ziewka”. Tylko prominenci mogli pozwolić sobie na import z dalekiego Wschodu zestawów toaletowych ze srebra, składających się z lyżeczek do czyszczenia uszu, przyrządów do pielęgnacji paznokci i igieł do tuowania.

Prapolski dom „na poziomie” posiadał też unikalne udogodnienie — wstęp o ścianach z lupanych desek z wazuteńką deską do siadania. W przybytku tym obywali się bez pieru toaletowego — wystarczał zielony, puszysty mech. I pomyśleć, że wyprzedzili tym królewski Wersal, który nie posiadał żadnej ułóżki. Ich Wysokości robili siusi i kupkę gdzie popadło, bodajby na marmurowych schodach, i dopiero służba przenosiła wydalinę pod but nie rosnące krzewy róż czy jaśminu. Jak zawrotny postępowanie w ciągu lat uczyniła więc Francja! A co zmieniło się u nas przez dziesięć wieków?

DANUTA WRONISZEWSKA

szanujmy wiedzę przodków

Kryzys, zmuszający nas do coraz bardziej zaskakujących wyrzeczeń, prowokuje starszych do wspomnień: jak to przed, w czasie i tuż po wojnie bywało. Na ogół wychodzi, że lepiej. A jak było jeszcze dawniej, powiedzmy — z higieną, w której przed dwoma wiekami usiłowala coś zdziałać Komisja Dobrego Porządku, za Stanisława Augusta utworzona. Nie musieliśmy mieć kompleksów: jeszcze 300 lat temu po ulicach Berlina, między stertami gnoju, przechadzały się autentyczne świnię.

W siedliskach naszych praszczurów prehistoryczne odchody wałyły się przed domostwami. Ci, których raził nieestetyczny widok, starali się zrobić z gnoju jakiś praktyczny użytek: stawiali na nim domy, przez co zyskiwali dość niezawodne centralne podgrzewanie. Na czas zimy — „zaludniali” ponadto izby drobiem i ssakami. Miał metraż, ale było za to cieplej i milej w towarzystwie jagniąt, prosiąt i cieląt. Mieszkanie wypadalo wprawdzie częściej sprzątać, ale też miotły z galezi jallowca były wysokiej jakości!

Ściany bieliło się wapnem. Tape-ty nie były w użyciu: transport papirosów z Egiptu był zbyt kosztowny. Ozdobny akcent na białych ścianach stanowiły pasma zielonego i srebrnego mchu lub złocistej słomy, służące do uszczelniania chat. Sprzęty domowe i naczynia kuchenne prą-gospodynie czyściły lodygami skrzy-pu. We wsiach wschodnich sasiadów do dziś stosuje się tę metodę, bez oglądania się na ewikę i antki, jak to czynią — zapałtrzone na zepsuty Zachód — współczesne Polki.

Pranie nie wymagało znacznie więcej siły niż obecnie. Białinę się najpierw moczyło: jeśli była mocno zabrudzona — w ługu, który posiada podobne własności, jak proszek „E”, albo w czystej, rzeczek czy jeziornej wodzie. Po wymoczeniu tłukło się mokre sztuki kijanką lub pra-



"O co walczymy, dokąd zmierzamy" — to hasło wywoławcze zafascynowanej coraz szersze kręgi dyskusji, precyzującej ustalenia na IX Zjeździe cele i zadania PZPR, a tym samym — zważywszy na szczególne miejsce Partii w społeczeństwie — formułującej wizję naszej narodowej przyszłości. Deklaracja, którą Partia przedkłada w okresie szczególnie trudnym dla kraju — w czas kryzysu, obaw i niepokojów — krzese nadzieję i przekonanie, iż wspólnym wysiłkiem wyprowadzimy kraj z kłopotów. Z naszej korespondencji wybraliśmy jeden z głosów włączających się w nurt ogólnopartyjnej dyskusji — organizację partyjnej przy Zakładzie Gospodarczym WZSR „Samopomoc Chłopska” w Grajewie.

Wszyscy, bez względu na osobiste poglądy, zmierzamy do uporządkowania naszej gospodarki, do zapewnienia ładu, porządku, dyscypliny społecznej, poszanowania osobowości każdego człowieka i wzajemnego zaufania. W chwili obecnej, jak nigdy dotąd, potrzebna nam jest praca nad integracją całego narodu; tę można uzyskać m.in. poprzez zespolenie się zalog poszczególnych zakładów pracy. W tym procesie jednoczenia się nikt nie może stać na uboku, a tym bardziej tylko krytykować to, co robią inni; nie może także być ludzi i grup korzystających z nienależnych przywilejów — każdy z nas musi ponieść trudny kryzysu i wszelkich uciążliwości z niego płynących.

Integrując się, musimy tworzyć potęgę gospodarczą w oparciu o naturalne bogactwo narodu, do którego nasza załoga zalicza przede wszystkim cechy osobowości Polaków, położenie geograficzne oraz zasoby naturalne kraju. Aby tę potęgę stworzyć musimy wychować i wykształcić wszystkich działaczy gospodarczych, polityków na ludzi dialogu; takich, którzy nie będą przeciwstawiali sobie osób o różnych poglądach politycznych, ale ich jednolili w imię interesów narodu i państwa. Musimy wychować kadrę kierowniczą, na wszystkich szczeblach zarządzania, zdolną do rozumnego kierowania zespołami pracowniczymi. W nich przecież tkwi potencjał na możliwość stworzenia polskiej potęgi gospodarczej. Wyzwolenie tego potencjału jest obecnie zadaniem nr 1. Ale uważamy, że tego dokonać może tylko kadra kierownicza umiejąca znaleźć się w określonych warunkach ekonomicznych i społecznych. Nie mogą natomiast — udzielić myślenia kategoriami sprzed sierpnia 1980 i sprzed 13 grudnia 1981 r. — z kręgów tzw. ekstremalnych.

W niektórych środowiskach, zwłaszcza młodzieżowych mówi się o konieczności działalności konspiracyjnej w szerokim tego słowa znaczeniu. Postawiliśmy w związku z tym pytanie: z czym dzisiaj do konspiracji? Tylko prowokator lub ostatni lewak może coś takiego wymyślić, nie działacz społeczny lub polityk. Polacy muszą jednocześnie się jako naród, by z pożytecznie partnera ekonomicznego, a nie zebrała — jak to jest dzisiaj — rozmawiać z kontrahentami zagranicznymi. Jakaś hańba jest, przynajmniej w naszej ocenie, przyjmowanie darów z zagranicy, na dystrybucji których niejednemu już się zdążyło obwiesić.

Jesteśmy przekonani, że nie było nie ma u nas głodu, nie znaleźliśmy się w sytuacji głębszej żywności. Nasze fabryki pracują, wytwarzając produkcję nie mniejszą niż w pierwszym okresie lat powojennych: pola były i są obsiewane; łony zawsze zbieraliśmy i zbieramy. W tej sytuacji rodzi się gorzkie pytanie: co następne pokolenia będą pisać o tym dzisiejszym polskim obractwie. Jeśli Polacy o tym zapomną — przypomną nam nasi obojętni, nie zawsze czyniący swą powinność tylko z pobudek charytatywnych. Dlatego też, w imię obrony honoru Polek i Polaków, winniśmy skończyć z przyjmowaniem niemużny i wiąże się do efektywnej pracy produkcyjnej i koncepcyjnej, na każdym stanowisku pracy. Tylko ona jest najlepszym czynnikiem i najpotężniejszym ku naszej drodze dokąd zmierzamy.

Ten spośród nas, kto tego nie rozumie nie ma co się wczepiać w projekt deklaracji ideowej PZPR, bo i tak zrozumie ją opacznie i opacznie będzie ją realizować i agitować innych do takiego pojmowania.

Drukujemy ostatnią część historycznej, prawie sprzed 38 lat, deklaracji PPR. Niech powrót do źródeł polskiego ruchu robotniczego wyostre naszą wyobraźnię w kształtowaniu Polski nadchodzącej.

„Nie może być wolnym naród, który uciska inne narody”.

Hasło to, widniejące na sztandarach całego obozu demokratycznego, najbardziej jest wykosławione i zapomniane. Dla Polski i jej bytu przyszłego hasło to ma decydujące znaczenie. Już wyprawa kijowska Piłsudskiego była zaprzeczeniem tego hasła. Po dzień dzisiejszy mówi o niej polska reakcja, jako o odparciu bolszewickiej nawały na Warszawę,

nie nie polskich, w imię zaprzeczenia prawa narodów do samostanowienia, w imię panowania polskich żubrów kresowych i polskiej reakcji nad ukraińskim i białoruskim narodem.

Reakcja polska i ulegający jej wpływom niektórzy politycy z obozu polskiej demokracji starają się uzasadnić pretensje Polski. Wszelkie argumenty historyczne straciły jednak swój sens od czasu, gdy na gruzach carskiej Rosji, będącej więzieniem narodów, powstała Republika Narodowa, między innymi Ukraińska i Białoruska, które wspólnie z innymi stworzyły Związek Republiki. Zagadnienie historycznego sporu o ziemie wschodnie między Polską a car-

ruchów i dążeń wyzwolenicznych milionów pokoleń i kieruje walką o pełne urzeczywistnienie sprawiedliwości społecznej i narodowej. Świadoma odpowiedzialność, jaka na niej ciąży wobec szerokich mas ludowych, Polska Partia Robotnicza — czołowy oddział klasy robotniczej — nawiązuje do tradycji walk narodowo-wyzwolenicznych, opiera się na doświadczeniach ruchu robotniczego, który od 75 lat coraz wydatniej wpływa na losy narodu polskiego. Z tych tradycji i doświadczeń przyjmuje PPR to wszystko, co ożywiało naród polski w jego walce z najeźdźcą, co napawało go otuchą w chwilach, gdy zdawało się, że czarna noc niewoli nie skończy się nigdy,

o co walczymy (4)



ską Rosją przeniosło się wobec tego w tych nowych warunkach na inną płaszczyznę. O przynależności tych ziem do tego lub innego państwa nie może już decydować czynnik siły, który decydował w przeszłości. Obecnie zaistniały warunki, aby narody zamieszkałe na ziemiach wschodnich, same decydowały, zarówno o formie swojej niepodległości, jak i o swym ustroju społecznym.

Odrzucając wysuwane tu argumenty reakcji jako obłudną maskę, Polska Partia Robotnicza podkreśla, że naturalną konsekwencją powstania Republiki Ukraińskiej i Białoruskiej na gruzach dawnego imperium carskiego, musi być uznanie przez naród polski prawa samookreślenia się narodów zamieszkujących ziemie wschodnie przynależne przed wrześniem 1939 r. do Polski. Kto dzisiaj zamykając oczy na zmiany zaszele na wschodzie w rezultacie rewolucji 1917 r., wysuwa historyczne prawa Polski do ziem wschodnich, przychodzi na faszystowską płaszczyznę walki o „Lebensraum” (przestrzeń życiową), o prawo do ujarznienia innych narodów. A tego nie da się pogodzić z pojęciami wolności i demokracji. Również i w interesie narodu polskiego nie leży beznadziejna i samobójcza wojna ze Związkiem Radzieckim o ziemie wschodnie. Nie wojny a przyjaźni i współpracy potrzebuje i szuka naród polski z bratnimi narodami słowiańskimi graniczącymi z nami od wschodu.

Tak więc stosunek do zagadnienia ziem wschodnich i do zasady samostanowienia narodów o swoim losie, jest piątym sprawdzianem prawdziwości i szczerości hasła demokratycznych i wolnościowych, tak szumnie dzisiaj głoszonych przez różne partie i ugrupowania polityczne w Polsce.

Wynika stąd jasno, że demokracja głoszona przez Polską Partię Robotniczą różni się zasadniczo od „demokracji” głoszonej obłudnie przez polską reakcję. Która z tych dwóch demokracji zwycięży i zapanuje w odrodzonej Polsce — zadecyduje naród. Polska Partia Robotnicza nie ma nic do ukrycia przed narodem polskim. Ogłaszając swoją demokratyczną platformę programową, wysunęła w niej najważniejsze żądania i postulaty głęboko nurtujące robotników, chłopów i świat pracy umysłowej. Razem z nimi, razem z narodem polskim walczy i walczyć będzie o realizację tej platformy w Wolnej i Demokratycznej Polsce.

Polska Partia Robotnicza
Polska klasa robotnicza, jako klasa postępową, złączana bezpośrednio z nowoczesną formą produkcji gospodarczej, jest spadkobierczynią

co wzmacniało jego siłę wobec wroga — bez względu na to, jaka partia brała udział w tworzeniu tych wartości. PPR nawiązuje do tradycji pierwszej polskiej partii robotniczej „Proletariat” i przejmując od niej bojowość, odwagę w stawianiu przed narodem problemów i zadań, które reakcja obłożyła klątwą, wreszcie jej bezkompromisowość w walce z najeźdźcą. Od Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy przejmując PPR jej nieugiętą walkę z caratem i szowinizmem. PPR nawiązuje do ofiarnej walki bojowców PPS o niepodległość Polski z 1905 r. PPR nawiązuje do rzetelnych tradycji KPP w kierowaniu strajkami i masowymi demonstracjami, przejmując od niej ofiarną i poświęcenie jej kadr i zdecydowaną walkę z oportunistami. PPR nawiązuje do tradycji antysanacyjnej postawy Stronnictwa Ludowego, do bojowości strajków rolnych z okresu 1932—1939.

Zbrojny czyn PPR wyrasta ze wspaniałych tradycji naszego narodu w jego walce o niepodległość, tkwi korzeniami w tysiącletniej obronie przeciwko naporowi germanizmu na nasze ziemie, znajduje swój początek w bohaterstwie powstań Kościuszkowskiego, 1831 i 1863 r. Bezkompromisowość PPR w walce z okupantem i rodzimą reakcją wpływa z siły bojowników proletariatu: Waryńskiego i Okrzei, Barlickiego i Dubois, Buczka i Nowotki, którzy złożyli swe życie za ideę Polski wolnej i postępowej.

Polska Partia Robotnicza, jako wyrazicielka dążeń i pragnień szerokich mas ludowych — robotników, chłopów i inteligencji pracującej — podjęła narzuconą narodowi walkę, nadała jej jednolite kierownictwo, podniosła ją na wyższy poziom. Gwardia Ludowa tworzy dzisiaj jądro sił, walczących na froncie wewnętrznym. Tysiące bojowników atakuje bezustannie wroga, sieją zamęt w jego szeregach. Dla hitlerowskiego terrorysty minął okres bezkarności. Na akty terroru PPR odpowiada ciętami, wymierzając w najeźdźcę punkty wroga.

PPR, występując z jedynie słusznym programem działania, dąży do przezwyciężenia rozbicia wewnątrz klasy robotniczej. Jedność klasy robotniczej ułatwił ściślejszy jeszcze sojusz robotników, chłopów i inteligencji pracującej w urzeczywistnieniu wspólnych dążeń. PPR nie pragnie dla siebie wyłączności w walce z okupantem, nie odgradza się od innych organizacji, które szczerze walczą z wrogiem. Dążąc do skupienia wszystkich sił do walki z hitleryzmem, PPR tworzy szeroki, antyfaszystowski front narodowy, bez zdrajców i kapitulantów. Na płaszczyźnie walki z okupantem, w codziennych ciężkich polityczkach, przy poparciu ludności formują się szeregi Armii Ludowej. Armia Ludowa — to zbrojne ramie zbliżającego się powstania narodowego.

Droga wiodąca do wolności i niepodległości znacząca jest krwią wielu partyzantów, bojowników, działaczy i sympatyków PPR. Chwała o krzyli imię Polaka — bojownika o wolność.

Ofiara ich życia nie poszła na marne. Ich miejsce zajmują nowe zastępy bojowników, posiew ich idei ogarnia cały naród. Wysoko trzymając sztandar walki, na którym wypisane jest dumne hasło „Za naszą wolność i waszą”, Polska Partia Robotnicza prowadzi naród do zwycięstwa i wolności.

Repr. GABOR LORINCZY



Milijki śpiewające



Po co zwykle sala kina „Październik” w dniu 9 maja rozbrzmiewała młodzieńczym gwarem i śpiewem. A wszystko to za sprawą Festiwalu Piosenki Harcerskiej — Łomża 1982. Ponad osiemdziesięciu wykonawców z trzydziestu szkół starało się, jak mogło, by opanować treść często pierwszego występu przed tak liczny audytorium i srogim jury. Ale nie tylko o wysoki po-



ziom wykonywanych utworów w tej rywalizacji chodziło. Sam udział dziewcząt i chłopców z Drosgoszewa, Nowogrodu, Tarnowa był dla nich nagrodą za wytrwałość. Błogosławieństwo harcerskie, która „urodziła się gdzieś na biwaku, przy ognisku nabrała rozmachu, potem w marzu wyrwała się z ust [...]” towarzyszy im w codziennych kłopotach i radościach

Tekst i zdjęcia Gabora Lőrincze



był sobie człowiek

Papier to wielki pożeracz lasów świerkowych i sosnowych. W związku z tym człowiek coraz intensywniej poszukuje surowców zastępczych do jego produkcji. Niemcy na przykład usiłowali robić papier z takich surowców jak torf, pokrzywa, nać kartoflana — próby jednak nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Francuzów natomiast zainteresowało szybko rosnące drzewo w deszczowej strefie Afryki Zachodniej. Nazywa się ono Musanga. Pierwsze wyniki zachęciły do podejmowania dalszych badań, ale okazało się, że nasiona owego drzewa mogły kiełkować dopiero po przejściu przez przewód pokarmowy tam żyjących zwierząt. Australijczycy zaś nadzieję na papier wiąże z rośliną nazywaną Canna indica, rosnącą w ogrodach botanicznych. Znakomicie rozwija się ona nawet w trudnych warunkach; jest odporna na 4-stopniowy mróz. Ważną zaletą owej rośliny jest to, że nadaje się do zmechanizowanego zbioru i daje włókno wolne od paździerz — bez miedlenia i rosznienia. Można ją trzykrotnie w ciągu roku zbierać, a poza tym jest wysoce wydajna.

W Indii produkuje się papier gazetowy w oparciu o mieszkowy surowiec. Większą część mieszanek papierowej stanowi ścier z drewna nazywanego Salai, resztę bielona celuloza z bambusa. Ofiarą amerykańskich apetytów papierowych padają karłowate dęby, które uważano do tej pory za bezużyteczne. Pierwsze arkusze papieru z tych drzew, rosnących w okolicach Florydy, wyprodukowano w laboratoryjnych warunkach.

dziadkowi wyrosną nowe zęby

Czy na miejscu straconych zębów mogą wyrosnąć nowe, naturalne? Aż tak! Próbuje się przeszczepiać pacjentom zawiązki, z których wyrastają normalne zęby. Sama metoda nie jest oryginalna, bowiem przeprowadzano już w ubiegłym stuleciu takie eksperymenty na zwierzętach. Ale wielokrotnie niepowodzenia zrodziły do niej sceptyczne nastawienie, więc zarzucono ją na jakiś czas. Kiedy całkiem niedawno przystąpiono do eksperymentów z przeszczepami zębów, a ściślej z ich zawiązkami, przed specjalistami stanęły te same problemy co i przed tymi, którzy usiłowali przeszczepiać nerki, serce. Zęby są przecież żywym, niezależnym elementem naszego organizmu: mają swoje nerwy, naczynia krwionośne. I jak można było przewidzieć, organizm nie przejawiał nazbyt wielkiej gościnności. Pierwsze doświadczenia prowadzone na psach — zawiązki zębów brano od szczeniaków — zakończyły się znów niepowodzeniem. Po transplantacji zawiązki rozpyływały się. Próbowano różnych sposobów. Najlepsze rezultaty otrzymano, mocząc w ciętym azocie te małe pęczki, wypełnione galaretowatą tkanką kostną. Przeszczepiania zębów można dokonać pacjentowi w każdym wieku. Po upływie trzech miesięcy od operacji prześwietlenia rentgenologiczne — okazało się, że zęby zaczęły rosnąć. Po czterech—pięciu miesiącach wyrzynały się z dziąseł. Jak wiadomo — najpierw pojawiają się mleczne — jest ich dwadzieścia — i wyrastają u dziecka w ciągu dwóch lat. Potem wypadają i na ich miejsce pojawiają się stałe. Proces rozwoju zębów kończy się dopiero w 18 roku życia. Aby przy przeszczepach nie czekać tak długo, opracowano nieskomplikowaną operację, stymulującą proces rozwoju zębów stałych, skracając go do dwóch lat. Transplantacja zębów nie powoduje żadnych powikłań groźnych dla człowieka. Nawet jeśli organizm odrzuci przeszczep, to wszystko ogranicza się do rozsąszenia zawiązków. Można więc z konieczności operację powtórzyć. Metodę przeszczepiania zębów stosują z powodzeniem naukowcy z Dagestanu (Autonomiczna Republika Radziecka).

wierzcie-nie wierzcie



kto w czerwcu urodzony

W całym roku, jak podają stare kalendarze, są 42 nieszczęśliwe dni. Jeśli ktoś akurat wbrał na swoje urodziny któryś z feralnych dni, to miał zabalaganione całe życie — przesładował go pech.

W styczniu feralne są takie dni: 1, 2, 6, 11, 17, 18.

W lutym: 8, 16, 18.

W marcu: 1, 12, 13, 15.

W kwietniu: 1, 3, 15, 17, 18.

W maju: 8, 10, 13, 17, 30.

W czerwcu: 1, 7.

W lipcu: 1, 5, 6.

W sierpniu: 1, 3, 18, 20.

We wrześniu: 15, 18, 30.

W październiku: 15, 17.

W listopadzie: 11, 17.

W grudniu: 1, 7, 11.

Ważne jest także, by stawić się do życia w odpowiednim dniu tygodnia — najlepiej w poniedziałek albo w piątek. Bo we wtorek urodzony — będzie lotrem i brzydula pospolita; w środę przyjdzie na świat kłótnik, zawistnik i zezowaty; w czwartek — upośledzony na umyśle albo ten, kto nie jest skory do pomocy bliźnim; w sobotę rodzą się ludzie co prawda pracowici, ale obłudni i zdradziecy; w niedzielę urodzony posiada dar przewidywania i dostrzegania duchów.

TANIE DANIE

rogaliki „dziewiczki”

Potrzeba na nie niewiele: 1 kilogram mąki, 4 jaja, 1 kostka margaryny, 1 szklanka mleka, 1 szklanka cukru, 15 dkg drożdży, szczypta soli, cukier waniliowy.

Drożdże rozpuszczamy z małą ilością ciepłego mleka, odrobiną mąki i cukrem oddzielnie w rondelku; margarynę roztopiamy na wolnym ogniu, resztę składników mieszamy razem i wyrabiamy ciasto, dodając ogrzane mleko. Ciasto powinno być dość ścisłe, żeby dało się wałkować. Wkładamy je do woreczka z folii, związujemy i zanurzamy w zimnej wodzie, pozostawiając je tak długo, aż samo wypłynie na wierzch. Proszę uważać, aby woda nie dostała się do woreczka. W wodzie pozostawiamy ciasto na 1 godzinę — po wypłynięciu wyjmujemy z woreczka i jeszcze raz wyrabiamy, dodając niewielką ilość mąki. Rozwałkowujemy placki, kroimy w trójkąty lub kwadraty (do środka można dodać np. wiśnie, marmoladę, a nawet ser) i związujemy w kształt rogalika. Układamy na posmarowanej tłuszczem blaszce, wierzch powlekamy roztrzepanym jajkiem i pieczemy aż dostaną rumieńców — jak prawdziwe dziewczę.

Janeczka

malinowe jezioro

W południowej części Syberii Zachodniej jest takie jezioro, które — niezależnie od pór roku, pogody, koloru nieba — zawsze ma niezwykłą, malinową barwę. Gdy się je ogląda po raz pierwszy, trudno wprost uwierzyć, że zabarwienie to pochodzi z naturalnego źródła. Tajemnicę niecodziennego zjawiska wyjaśnia skład chemiczny wody: sprzyja rozwojowi mikroskopijnych raczków, od których woda w jeziorze ma kolor malin.

krowie drzewo

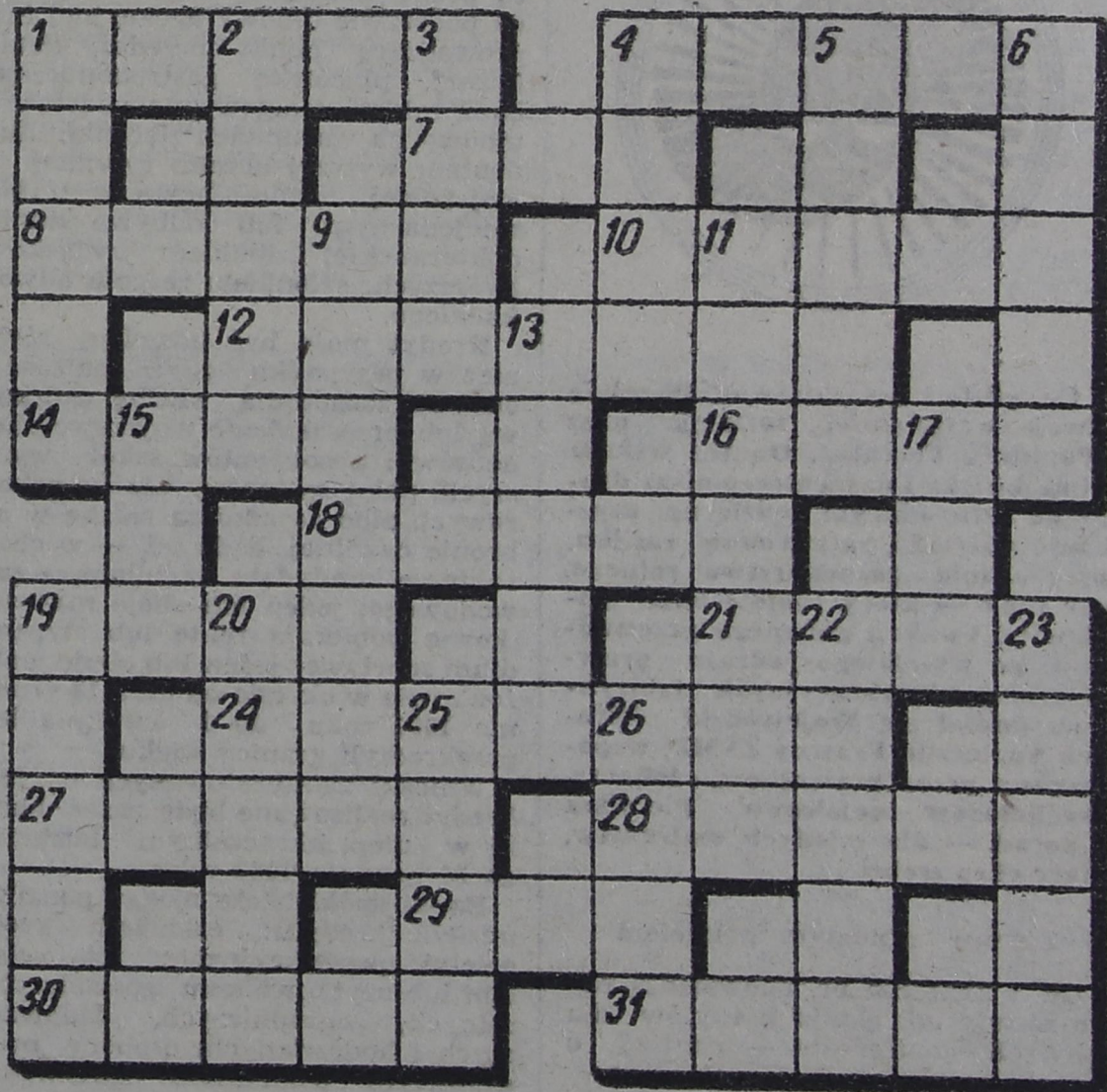
Na kontynencie południowo-amerykańskim rośnie drzewo, które nazywają tubylcy krowim lub mlecznym. Wyrasta do wysokości 35 metrów, a średnica pnia wynosi 2,5 m. Drzewo to dostarcza soku, który składem chemicznym i wyglądem przypomina właśnie krowie mleko. Gdy się natnie korę, to sok wypływa tak obficie, że może zaspokoić głód kilku ludzi. Płyn gromadzą w szerokich naczyniach i rozcieńczają później wodą, by wytrącić zanieczyszczenia. Jest to pokarm bardzo pożywny: zawiera i białko, i tłuszcz, i cukier. Nawet zapachem przypomina mleko. W Wenezueli roślina ta tworzy rozległe lasy.

kukułka

ptak wróżebny

Kukułka we wszystkich częściach świata z dawien dawna uważana jest za wieszczkę zmian losu. Trudno w tej chwili dociec, dlaczego. Ptak ten nazbyt widocznie odbiega zachowaniem od innych. Bo tak: kukułka odprawia gody z kilkoma samcami, jaja do wylęgu podrzuca do innych gniazd, kukułcze piskły wykluwa się szybciej niż potomstwo przybranych rodziców, pozbywa się często konkurentów do pokarmu, wyrzucając ich z gniazda. Dorosła jest skryta, samotna, ostrożna.

W wielu krajach kukułka uchodzi za wróżkę śmierci. W Polsce tylko górale wierzą, że gazda, który bez śniadania usłyszy przy orce kukanie, na drugą wiosnę nie będzie orał, tylko ziemię gryzł. Poza tym obszarem kukułczy głos wieści same dobre rzeczy: ile latek do wesela, ile dzieci będzie w małżeństwie, a już bez żadnego pudła — złą lub dobrą passę finansową. Gdy w lesie kukułka okuka pustą kieszeń, zostanie ona dziurawa do końca roku.



POZIOMO: 1) część mieszkania, 4) przerywa ją biegacz na mecie, 7) imię znanej polskiej piosenkarki, 8) starożytna machina oblężnicza, 10) ozdoba kobieca na uchu, 12) dzieło, rozprawa naukowa, 14) imię twórcy baletu „Spartakus”, 16) zaporą rzeczna, 18) rodzaj wiszącej lampy, 19) umożliwiają pokonanie przeszkody wodnej, 21) szczelina powstająca w drewnie podczas pilowania, 24) drewniany instrument perkusyjny, 27) młodzieżowy bohater w czarnym płaszczu, 28) półprosta tworząca kąt, 29) antonim dobra, 30) sknera, skąpiec, dusigrosz, 31) po niej do kłębka.

PIONOWO: 1) na końcu trasy tramwajowej, 2) wstępu, pływacka lub wędkarska, 3) miasto w NRD znane z zakładów Zeissa, 4) umiar

w postępowaniu, 5) orszak, asysta, 6) żona Mahometa, 9) prowadzi eksploatację statku, 11) mała, kieszonkowa do oświetlenia, 13) górnicze godło, 15) gatunek kawy brazylijskiej, 17) rząd wymarłych, dużych nielatających ptaków z Nowej Zelandii, 19) drobna roślina zarodnikowa, nie mająca korzeni lecz chwytники, 20) papieros domowego wyrobu, 22) chaos, rozgardiasz, 23) ptak z rodziny łuszczaków, 25) popularny krzew z rodziny wierzbowatych, 26) pod monarchą.

„HCL”

Rozwiązanie krzyżówki prosimy nadsyłać w terminie 10-dniowym na adres redakcji. Wśród prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy nagrody książkowe.

13

KONTAKTY
23 V 1982

stragan pod 13



klaps w kędziorki

Reforma gospodarcza — to wielka, wytęskniona, kojąca nasze ekonomiczne rany — wśliznęła się już do sektora usług i drobnej wytwórczości. W łomżyńskich usługach kotłowniczych, przewracając, ale oprócz podwyżki cen usługobiorca żadnych zmian nie zauważył. Sumując 1981 rok, łomżyński Oddział WSS „Spółem” zanotował „w pionie usług” 100 tys. zł strat, które chętniej nazywa ujemnym bilansem. Wytłumaczyć się z nich nie było trudno: reforma trwała zaledwie pół roku. Kiedy jednak w marcu bieżącego roku zastępca dyrektora ds. usług, Jerzy Stańczyk, stwierdził, że dwa pierwsze miesiące tego roku również przejechał na czterdziestotysięcznym minusie natychmiast zorientował się, że zwykle wprowadzenie reformy nie jest zbawienne. Zmobilizował więc całą swą energię — przede wszystkim umysłową — aby znaleźć skuteczny sposób zduszenia zjawisk kryzysowych.

Najwięcej WSS-owskich złotych bezpowrotnie wyciekło w ubiegłym roku na targowice. Miejsce, gdzie tak łatwo ludzie z groszy zbijają krocie, przyniosło WSS-owi 60 tysięcy strat. Opłaty „od lebaka” i towaru były tak niskie, że nawet inkasenta nie można było z tego utrzymać, a co dopiero plac rynkowy, nie mówiąc o poważnych urzędnikach Spółdzielni.

— Ludzie są tak chytrzy — twierdzi dyrektor Stańczyk — że nawet od tych groszowych sum się uchyla. Dlatego podnieśliśmy je o 80–90 proc.



ODPISKAĆ RÓWNOWAŻE

— Tym gorliwiej będą się uchylać — przypuszczam.

— Obawa uzasadniona — ripostuje dyrektor — ale przewidzieliśmy to i zwróciliśmy się już do milicji o pomoc.

Wspaniały pomysł. Milicja jest dobra na wszystko: taki dzielnicowy dwa razy w tygodniu społecznie pracuje za inkasenta, ten zarobi więcej, a i spółdzielni też może coś z tego kapnie...

Dopiero pracownikom „Praktycznej Pani” miał jednak zaproponować prawdziwie reformatorskie pociągnięcia. Chociaż od października ubiegłego roku dwukrotnie podnoszono im ryczałty, tym razem zdecydował się na ostre, naprawdę dochodowe pociągnięcie: zażądał — zamiast dotychczasowej kwoty 2.800 — od każdej fryzjerki 10 000 złotych miesięcznie. Nie wiadomo tylko, skąd wziął tę okropną sumę. Fryzjerki tłumaczyły, że pracują w lokalu III kategorii, w niewielkiej Łomży, że ich białostockie koleżanki z zakładu I kategorii placą 4,5 tysiąca, a w warszawskim „Forum” — 6,5. Dlaczego w Łomży 10 000?

Pan dyrektor stwierdził jednak, że panie reprezentują wyłącznie swój własny interes, a on — na swoje doświadczenie i obserwacje — wie, że

zarabiają bardzo dużo, a już szczególnie fryzjerki, tymczasem WSS ponosi co roku poważne straty.

Nie zmartwił się też, gdy fryzjerki, kosmetyczki i krawcowe zagroziły, że zrezygnują z pracy w „Praktycznej Pani”: — Ośrodek można zlikwidować, nam na tym nie zależy. Będzie doskonale miejsce na przed-szkole. Tylko co wy zrobicie? Znam, że nie ma wolnych miejsc ani dla sprzątaczek, ani dla sklepowych!

Prezes Zarządu Wojewódzkiego WSS, Wiesław Dębiński szczerze odpowiedział lamentującym kobietom: — Ja mogę interweniować w waszej sprawie, ale nie mogę dyrektorowi powiedzieć, żeby zaniżył ryczałt.

— Co mogliśmy tłumaczyć — żalą się pracownicy — skoro nie liczył się z nami, ani z wyliczeniami pani Wróblewskiej, naszej koordynatorki, która obliczyła np. że po nowej podwyżce usług ryczałt fryzjerski powinien wzrosnąć tylko do 5 200 zł. Z tym możemy się zgodzić. Dyrektor, ni z gruszką ni z pietruszką, ustalił, że mamy 40 tysięcy obrotu, więc 10 tysięcy możemy bez kłopotu odpalić WSS-owi. Nie miałyśmy już innej rady tylko iść do komisarzy, albo rzucić robotę. Na szczęście komisarz się za nami wstawił. Powiedział dyrektorowi: „Jak to, nasze państwo wspiera rozwój usług, tyle łożą na kształcenie rzemieślników, a pan tu ma wykwalifikowaną kadrę i się pan z nią nie liczy? Trzeba się wspólnie zastanowić nad rentownością firmy, ale nie można wylewać dziecka z kąpielą”. Dyrektor wtedy od razu zjechał na 8 200, a potem, po naradzie u prezydenta — na pięć. Teraz będzie można znów pracować.

Krawcowe i dziewiarki były w jeszcze trudniejszej sytuacji. Nikt się nie kwapi, aby podjąć się szycia w „Praktycznej Pani”. W ośrodku na osiedlu Jantar pokój już trzeci miesiąc stoi pusty i dyrektor nie może znaleźć ochotniczek. Wysoki ryczałt odstrasza.

— Jak mam dobry dzień — mówi jedna z tych, które się ostały — to wydziergam na 250 zł, z czego 200 zł odchodzi mi na ryczałt, a 50 pozostaje na utrzymanie siebie, dzieci i warsztatu pracy. W sezonie wiosenno-letnim nie mam prawie nic do roboty — kto wtedy myśli o sweterkach. Nie jestem w stanie nawet na ryczałt zarobić, mimo że koleżanki dają mi jakieś flagi czy ręczniki do szycia, żeby mnie poratować. My nie mamy żadnych rekompensat, nawet za chleb, ale tego nikt nie bierze pod uwagę. Nie wiem, jak nami rządzą: w Kolnie placą tylko 1 400 zł i tam nie ma strat, a u nas ciągle im mało. Myślę, że jak takie Stańczyki będą robić reformę, to my się z tej biedy nigdy nie wyrzucimy.

Mimo ustalenia ryczałtu na sensownym poziomie pracownicy „Praktycznej Pani” nadal nie są zadowolone. Boją się, czy będą miały klientów. Woląaby uszyć trzy spódnice po 250 zł niż jedną za 400 i przez pół dnia smętnie wyglądać ewentualnej klientki.

Nie ma reformy gospodarczej bez reformy myślenia — pod tym stwierdzeniem podpisują się już wszyscy. Cieszy fakt, że wielu robotników i szeregowych pracowników rozumie główne założenia, czuje intuicyjnie ich sens. A mimo to gdzieś, ktoś — a nawet chyba spora gromada wpływowych „kiosów” — wypycha reformę w trybie zwariowanej spirali goniących się cen. Zamiast zmian w strukturach kosztów, wprowadzenia sensownych realacji cenowych, wszystkie ceny rosną równo, a raczej skaczą o 200–300 procent.

Gdy więc „reformowaliśmy” już je tak, że jedna wizyta u fryzjerki kosztuje tyle co kilogram szynki — to ta niedawno okropnie droga szynka znów stała się relatywnie tania.

Oczywiście, można przecież znów podnieść ceny mięsa. I znów dać odpowiednie rekompensaty. Itp., itd.

DANUTA WRONISZEWSKA
Rys. Jerzego Dobrzyńskiego

PORADNIK PETENTA



Co, gdzie i jak załatwić? Wszelkie Twoje wątpliwości rozwieje nasz „Poradnik Petenta”. On też wskaże Ci najbliższą i najskuteczniejszą drogę do celu, którym będzie np. uzyskanie pożyczki, załatwienie zasiłku, przekazanie gospodarstwa rolnego, czy inny — który sobie i nam postawisz. Funkcją głównego przewodnika po wszelkiego rodzaju prawniczych i biurokracyjnych labiryntach podjął się Wojewódzki Ośrodek Społeczno-Prawny ZSMP, wspomagany przez prawników, lekarzy, psychologów, socjologów. Pierwsza z porad — dla młodych małżeństw, które chcą zrobić

Zakupy z pustym portfelem

Od 1 kwietnia br. obowiązują nowe zasady udzielania kredytów dla młodych małżeństw — poniżej o szczegółach.

Osobami uprawnionymi do uzyskania jednorazowego kredytu w wysokości do 150 tys. złotych są: małżeństwo, w którym oboje małżonkowie pracują lub studiuje, albo też jedno z nich pracuje lub studiuje, a drugie wychowuje dzieci, pod warunkiem, że jeden z małżonków nie przekroczył 30 lat, a drugi 35 lat życia; osoba samotnie wychowująca dzieci, która nie przekroczyła 35 roku życia, nie pozostaje w związku małżeńskim i wychowuje samotnie dzieci własne, przysposobione lub przyjęte na wychowanie w rodzinie zastępczej.

Prawo do uzyskania kredytu przysługuje młodym małżeństwom, w których co najmniej jeden z małżonków jest: pracownikiem jednostki gospodarki społecznej i nie-
uspołecznionej lub jest zatrudniony

u osób fizycznych na podstawie umowy o pracę, powołania, wyboru lub mianowania albo spółdzielczej umowy o pracę; żołnierzem zawodowym lub funkcjonariuszem Milicji Obywatelskiej, Służby Więziennictwa i pożarnictwa; osobą wykonującą pracę nakładczą lub zatrudnioną na podstawie umowy agencyjnej lub prowadzącą punkt sprzedaży detalicznej, placówkę gastronomiczną, bądź zakład usługowy na podstawie umowy na warunkach zlecenia; studentem wyższej uczelni cywilnej i wojskowej, studiującym w trybie stacjonarnym, lub odbywa studia doktoranckie; członkiem związków twórczych; członkiem zespołu adwokackiego.

Kredyt może być udzielony również w przypadku gdy: małżonek odbywa zasadniczą służbę wojskową lub przeszkolenie wojskowe studentów i absolwentów szkół wyższych, pełni zastępczą służbę poborową albo zasadniczą służbę w obronie cywilnej, bądź też — w charakterze kandydata na żołnierza zawodowego; jeden lub oboje małżonkowie pobierają rentę lub stypendium sportowe; jeden lub oboje małżonkowie w okresie od dnia 13 grudnia 1981 roku do 1 kwietnia br. przekroczyli granice wieku.

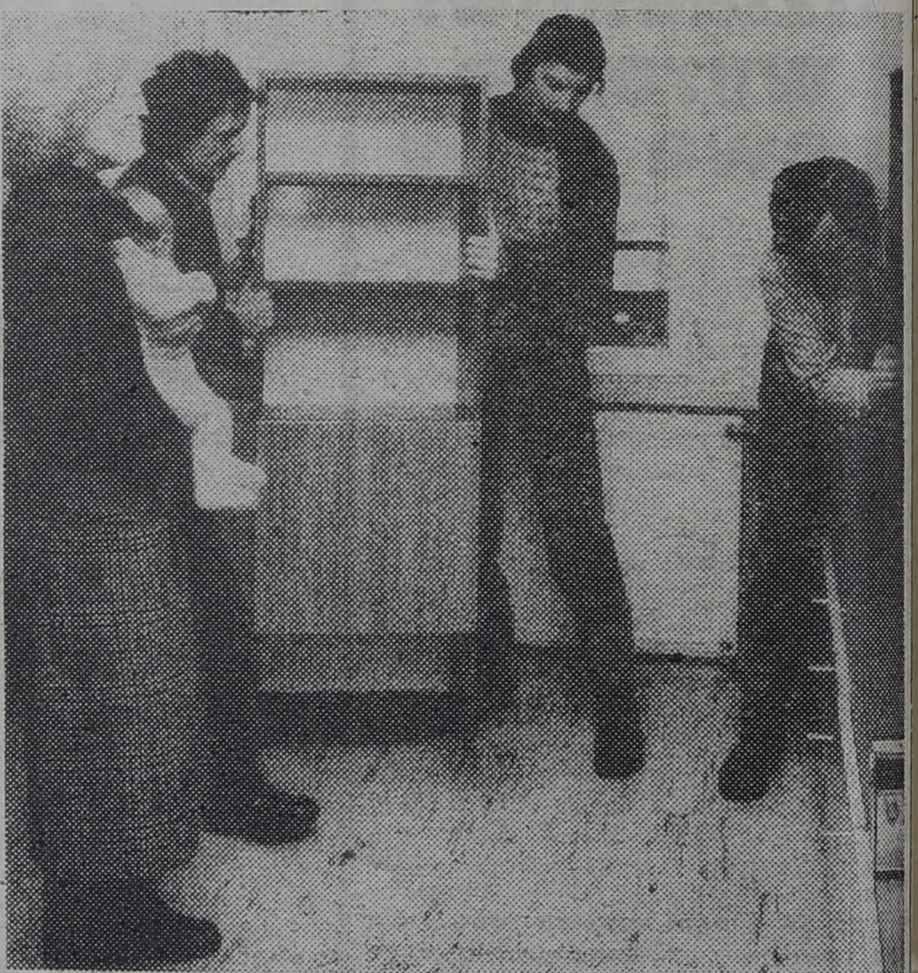
Wnioski zainteresowanych o ten kredyt realizowane będą przez banki w nieprzekraczalnym terminie do 31 grudnia 1982 roku.

Banki spółdzielcze mogą ponadto udzielić kredytu: członkom spółdzielni produkcyjnych; właścicielom lub użytkownikom gospodarstw rolnych, ogrodniczych, sadowniczych i hodowlanych; osobom prowadzącym działalność zarobkową we własnym imieniu na podstawie uprawnienia wydanego przez właściwy organ administracji państwowej (prezydent, naczelnik miasta i gminy).

Występując o kredyt należy udokumentować uprawnienia do niego: osoby pracujące przedkładają w bankach zaświadczenia z zakładów o stażu pracy, wysokości miesięcznego wynagrodzenia itp.; natomiast osoby studiujące składają zaświadczenia z wyższych uczelni o odbywaniu studiów i obowiązującym terminie ich ukończenia, zaś osoby pobierające stypendia sportowe, doktoranckie — zaświadczenia ośnośnych jednostek o wysokości pobieranego stypendium i okresie, na jaki zostało ono przyznane.

Zabezpieczenia spłaty kredytu dokonuje się przez zawarcie umowy

zakupy z pustym portfelem



poręczenia. Poręczycielami mogą być osoby zatrudnione w jednostkach gospodarki społecznej, w pełnym wymiarze czasu pracy, z wyjątkiem osób, których wynagrodzenie jest niższe niż 6 000 złotych; pozostających w okresie wypowiedzenia umowy o pracę; których wynagrodzenie zajęte jest w trybie egzekucji z tytułu wyroków sądowych lub innych tytułów; spełniających warunki młodego małżeństwa albo osoby samotnie wychowujące dzieci, obciążonych zadłużeniami z tytułu kredytów na zakup artykułów przemysłowych i usług oraz pożyczek gotówkowych; które nie spłaciły lub nie spłacają w terminach umownych należności bankowych.

Poręczenia dokonują dwie osoby. Jednak w uzasadnionych wypadkach powszechnie kasy oszczędności lub banki spółdzielcze mogą uzależnić udzielanie kredytu od poręczenia trzech osób. PKO i BS może również odmówić przyjęcia poręczenia z innych powodów niż określone wyżej.

Kredyt może być realizowany w okresie 12 miesięcy, lecz w indywidualnych wypadkach, na wniosek kredytobiorcy, może być wydłużony, nie więcej jednak niż o dwa miesiące. Spłata kredytu przez kredytobiorcę dokonywana jest w ratach

miesięcznych, w okresie nie dłuższym niż 5 lat. Rozpoczęcie spłaty następuje po jego zrealizowaniu. Osobom zatrudnionym w jednostkach gospodarki społecznej w pełnym wymiarze czasu pracy zawieszają się spłatę 3/4 wykorzystanego kredytu, nie więcej jednak niż 75 000 zł; ma to również zastosowanie w odniesieniu do osób studiujących. Te kwotę, wraz z odsetkami spłaca jednorazowo zakład pracy po nienagannym przepracowaniu przez kredytobiorcę co najmniej pięciu lat po terminie rozliczenia zrealizowanego kredytu przez PKO lub BS, albo dwu lat — w przypadku absolwenta wyższej uczelni, jeżeli umowa została zawarta w okresie studiów.

PKO i BS mogą obniżyć górną granicę pożyczki, mają też prawo w uzasadnionych przypadkach w ogóle odmówić jego udzielenia. Oprocentowanie kredytu wynosi 6 procent w stosunku rocznym. Odsetki obliczane są za okres realizacji kredytu i okres spłaty.

Powyższe zasady nie dotyczą jedynie umów kredytowych zawartych przez PKO i BS — z młodymi małżeństwami, i osobami samotnie wychowującymi dzieci — przed 13 grudnia 1981 roku.

WOJCIECH KORDAL
Fot. GABOR LORINCZ



ku pamięci

„Słyszeliśmy niekiedy donioślejszy brzęk naczyń gastronomicznych niż głos inicjatywy w jakiejś ważnej kwestii żywotnej” (1876 r.)

„Czy wiecznie będzie tak u nas, że aby coś pożytecznego wykołatać, trzeba pierwszej beczkę atramentu wypisać i czas dziesiątkami lat zmierzwić” (1875 r.)

„Dziedzictwo Polski niegdyś piękne i świetne, płodne w cnotę bohaterskiego męstwa i poświęceń, leży teraz zubożone i pełne fraszunków, jako osierocona wdowa bez opiekuna, bez statecznych dzieci i szczerych przyjaciół” (1906 r.)

„Miasto jest takim samym nato-giem jak każda inna” (1890 r.)

ZYGMUNT GŁOGER

kramik

z wydawnictwami

Za sprawą Krajowej Agencji Wydawniczej oraz autorów: Andrzeja Lewandowskiego, Ryszarda Serwackiego i Ireneusza Wasilewskiego otrzymaliśmy kolejny tomik z serii „Vademecum turystyczne”, poświęcony województwu łomżyńskiemu. Za jedyne 32 złote można zapoznać się z ogólną charakterystyką Łomżyńskiego, historią poszczególnych rejonów i miejscowości turystycznych, przebiegiem tras, a na koniec obejrzeć kilka zdjęć nie najlepszej, niestety, jakości.

M.in. okazuje się, że „w 2 połowie XVI wieku wystąpiły pierwsze objawy zastoju gospodarczego związanego przede wszystkim z uciskiem ekonomicznym mieszczaństwa i chłopów, a także nadużyciami ze strony starostów i możnowładców, klęsk żywiołowych, wreszcie wskutek najazdu szwedzkiego w 1655 r.” Godzi się przy tej okazji zauważyć, że w następnych wiekach i kryzysach malała rola wojsk szwedzkich.

Kolumnę redagował:

ADAM DOBRŃSKI



czar wspomnień

„O Boże! Łomżyński ogród spacerowy! Nie można wyobrazić sobie Łomży naszej młodości bez tego ogrodu, jak nie można jej sobie wyobrazić bez wysadzonej stuletnimi topolami szosy, która ją przecina z południa na północ i po której co dzień biegali nasze oczy; bez Narwi, gdzie się spędzało długie godziny od wiosny do jesieni; bez deptaku, na którym podczas stu kroków odmierzonych tam i z powrotem działy się zarówno uciśne kwestie sztabackie, jak i poważne sprawy, rozstrzygające na całe tygodnie o szczęściu i niedoli czułych serc młodzieży; bez ślizgawki u Szyszka, gdzie urok śmigłego holendra podnosiła najmiłsza rozmowa i pełna junackiego ryzyka przygoda z władzami szkolnymi... Ogród spacerowy! Tam to chodziło się zwykle po niedzielnej mszy uczniowskiej i ogród rozbrzmiewał wtedy wesołymi głosami; tam biegano się na godzinkę, gdy jakaś lekcja szczęśliwie odpadała; tam o zmierzchu spiskowano, umawiano się i wydawano polecenia organizacyjne; tam szukano miłych, choć przelotnych spotkań i rozmów, które

ow, co-niesięczny magazyn „Łomżyńska”! Zaczni Czytelnicy, znajdziecie w nim materiały mniej i bardziej poważne, traktujące o przeszłości naszego regionu. Prosimy: stawajcie się współautorami. Czekamy na gromadzone w Waszych domowych archiwach fotografie (ewentualnie tylko do wypożyczenia), dokumenty, listy, unikalne wydawnictwa.

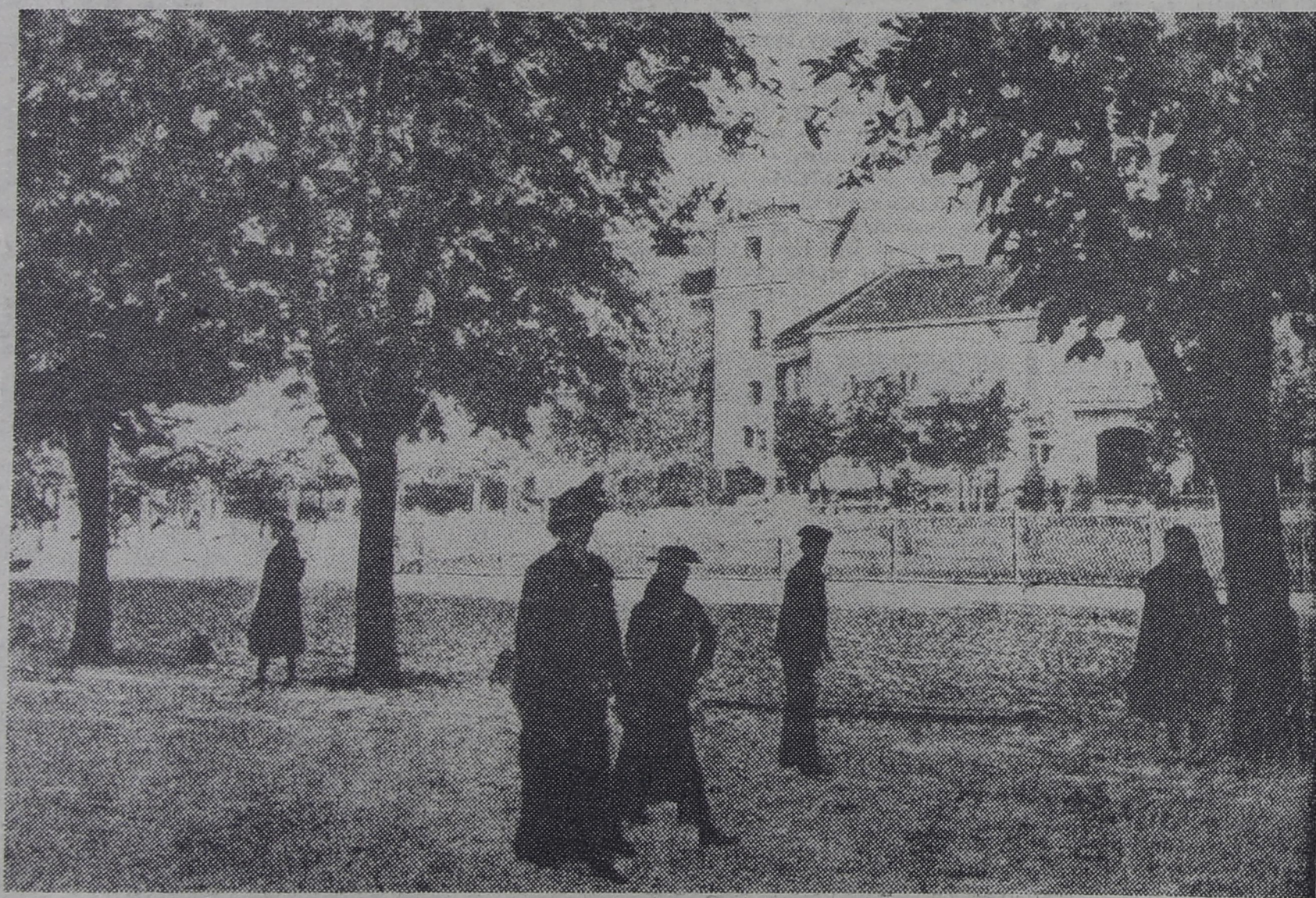
W tym pierwszym wydaniu magazynu dominują: Zygmunt Głoger, Bogdan Winiarski i Królowa Bona (bohaterka serialu TV we fragmentach tekstu legendy, spisanej niegdyś przez Romana Zmorskiego).

re często rozmowa oczu zastąpić musiła”.

„Jak pięknie wyglądał kościół i klasztor Kapucynów w maju! Od strony rzeki zdawało się, że szczyty starych budowli wznoszą się ponad obłoki białe i różowe, tak pysznie kwitły drzewa na zboczu góry. Po korytarzach klasztornych szły wonie słodkie i rześmiące zarazem”.

„Wszędzie pełno zieloności. Nie tylko zaciszne dworki, nie tylko drewniane domki Skowronek czy Rembelina, ale nawet kamienice śródmiejskie miały piękne nieraz ogrody. Wszystko składało się na całość tchnącą swojskim urokiem i kojącym spokojem. Szły od tych ulic i placów powiewy starej kultury i dawnej, lepszej przeszłości, które ludźmi nasz szkolny chwytali dziwnie szybko. Któż obliczy, ile w każdym z nas, wychowanków starej szkoły łomżyńskiej, najcenniejszych i najtrwalszych pokładów duszy wytworzyły te fluidy kochanego miasta?”

(B. WINIARSKI, „Nad Pissą, Wisłą i Narwią”)



Deptak na Nowym Rynku (obecnie Plac Kościuszki), (z pocztówki z 1916 r.).

Reprodukcja Bolesław Deptuła

PRZESADY I ZABOBONY LUDU NADNARWIAŃSKIEGO

MYŚLIWSKI

Jeżeli myśliwy idąc na polowanie, zobaczy przypadkiem babie kolana, to na pewno ubije zająca; jeżeli zaś tylną część ciała, to sarnę.

METEOROLOGICZNE

Żeby grad prze-tał padać należy wyrzucić przez okno srebrną łyżkę.

— Ażeby mróz ustał należy wyliczyć bez przerwy „dziewięć dziewięciu”, czyli 81 nazwisk osób łysych.

GEOGRAFICZNY

Kto śpi głową zwróconą na północ, śpi twardo i nie posłyszy, gdy go okradną złodzieje. Na zachód także sen mocny. Kto głową śpi na wschód, śpi czujno i obudzi się o

wschodzie słońca, a kto na południe, ma sen niespokojny i gorączkowy.

Z KURĄ

Gdy kura pieje jak kogut, zła jest rzeczą dla domu. Należy wziąć taką kurę i od stołu do progu przemierzyć nią podłogę odwracając głowę i nogami, a na progu uciąć to, co wypadnie, tj. głowę lub nogi.

ZE SROKĄ

Żeby zmora nie dręczyła po nocach koni, należy zabić srokę powiesić w stajni na ścianie. Skrzące sroki na płocie przy domu jest wróżbą gości i dla dziewcząt wróżbą mających przybyć gachów lub dziewosłów (swatów).

Z MUCHĄ

Tak zwany jęczmień na oku leczy rozdartą muchą, kładąc ją w przeciwnie ucho.

Z PRUSAKAMI

Niektórzy ludzie umieją wyprowadzić z domu owady zwane tu prusakami lub francuzami i przeciwnie, nasyłać je przez zemstę w domy swoich nieprzyjaciół. Wyprowadzenia dopełniają z różeczką w rękę.

WAŻNY

Kołtun obcinać można tylko w chwili zachodu słońca, aby złych skutków obcięcia nie spowodzić.

(z materiałów Z. Głogera)

Jaś Grajek i królowa Bona

ODSŁONA PIERWSZA

Mogło być około północy, gdy Jaśko wracał po łodzi z Narwi do domu, bo jakoś tej niedzieli rychlej się skończyły niżli zwykle tany w karczmie, w której grał właśnie. Był to sobie rzecki dwudziestoletni parobczak, z rzemiosła swego pastuch bydła w Łomży, a z zamiłowania grajek... Właśnie przeszedł szczęśliwie przez rzekę, mijając pagórek, na którym kiedyś stało zamczysko królowej Bony, gdy wtem stał się przed nim dziw, który go od stóp do głów przejął mrowiem. Tuż przed oczyma jego rozwarła się nagle jedna ściana pagórka i z ciemnego jej otworu ukazała się piękna pani, wystrojona jak na święto, cała od złota i klejnotów.

Jaś: — Wszelki duch Pana Boga chwali!

Zjawia: — I ja go chwale, choć nim oglądać stanę się godną, wieki, wieki jeszcze miną!

Jaś (kłaniając się do nóg): — A toć mi wybaczenie, Imosiulu, żem się was wylał, gdyby czego zlego... Ale dalibóg — bo i skąd się też Imosć o tej porze tutaj wzięła? Albo pfu! czym ja pijany, czy co?

Zjawia: — Dobrze ci się widzi, mój człowieku. Toć to jest zamkowa góra, a ja nieszczęsną ta królowa Bona, com na niej mieszkała! Ach ciężko się nagrzeszyło, ciężko też pokutuję teraz! W zapadłym zamczysku moim dręcza mnie i poniewierają złe duchy, tylko ta jedna godzinka przed północą, o której za życia bywało pacyerz mawiałam, wolna mi od mąk zostaje.

Zjawisko niewieście spojrzało Jan-kowi w oczy tak miłosierdzie, że ten nie odmówił i zagrał śliczną piosenkę. Bona słuchała z zachwyconiem. Ach! bo i któż by słuchał mógł bez niego tej cudnej mazowieckiej pieśni? — Cóż dopiero ona nieboraczka, co od lat tyłu nie znała innej muzyki, tylko wycia i śmiechy diabła?

Zjawia (dziękując za wycisnienie): — Z którymi wyciekło z duszy więcej złego, niżliby ogień czyścicowy przez cały rok mógł strawić! — Północ bić zaczyna, muszę wracać na pokutę! Bywaj zdrów, a pamiętaj, jeśli kiedy będziesz potrzebował pomocy w jakiej potrzebie, przyjdź, zagraj tylko pod tą górą, a ja wynijdę do ciebie.

Wtem na wieży łomżyńskiej fary zegar uderzył dwunasty raz, Bona skoczyła w czarną czeluść pagórka, która się za nią zawarła, a Jaś posłyszał taki ryk i jęk, i brzęk łań-cuchów, że zatykając uszy pobiegł wystraszony ku domowi.

ODSŁONA DRUGA

Jaś wygonił swoje bydelko na świeżą pastwę. Zachwycony pięknoscią Bożego świata grał na skrzypkach i marzył. Z marzenia tego zbudził go nagle okrutny boćkowski kańczug i głos grubego pana ekonomy — Ha! psia, chamska duszo, niegodziwa! Tak to pasiesz pańskie bydlę? Dam ja ci muzykę, złodzieju! Niestety, okazało się, że wilki zjadły czerwoną jałówkę. Chciał już Jaś się utopić lub powiesić, ale przypomniał sobie o królowej Bonie. Stał o jedenastej u zamkowej góry i zaczął wygrywać na skrzypkach. Bona nie zawiodła.

Zjawia: — No, jak się miewasz przyjacielu? Jakoś smutnie ci dziś z oczu patrzy.

Jaś: — Ach, oświecona królowo stało mi się ciężkie nieszczeście. Zagapił się człowiek, pasąc bydło, a czerwona „Łysa” w las zalaża i wilcy ją zżarli! Poradź, pomóż, zlituj się, miłościwa pani!

Zjawia: — Nie rozpaczaj no tylko przed czasem, dam ci tyle pieniędzy, żebyś inną jałówkę kupił, albo panu zapłacił. Po pieniądze sam sobie musisz do lochu iść. Stoi tam jedna kadź talarów, to sobie odlicz, co ci ich potrzeba. Pamiętaj tylko, żebyś ani na włos nie brał więcej, bo byś popadł w moc złego.

Jaś czarnym, krętym korytarzem zaszedł do ogromnej piwnicy, w której od srebra, złota i drogich kamieni widno było gdyby w dzień. Drżącą ręką odliczył dziesięć bitych, błyszczących talarów i schowawszy je za nadra, pobiegł nie oglądając się na powrót.

ZAPOWIEDŹ

ODSŁONY TRZECIEJ

Wkrótce po stracie jałówki zdarzyło się Jaśkowi nowe, gorsze sto razy nieszczeście: zakochał się biedaczysko i to w Maigoli, córce młynarowej z łomżyńskiego przedmieścia.

Ciąg dalszy nastąpi

ŁOMŻYŃSKA